

Sławomir Sierecki
WIDMO NA MEWIEJ RAFIE



SŁAWOMIR SIERECKI

WIDMO

NA MEWLEJ RAFLE

Krajowa Agencja Wydawnicza Gdańsk

Projekt okładki, strony przedtytułowej i strony tytułowej: Barbara Kruszewska

Opracowanie mapki: Sławomir Sierecki

Wykonanie mapki: Barbara Kruszewska

Redaktor: Janina Pączkowska

Redaktor techniczny: Bogusław Maresch

Korektor: Anna Jasińska

© Copyright by Sławomir Sierecki Gdańsk 1978

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA RSW „Prasa—Książka—Ruch” Gdańsk 1978

Wydanie I. Nakład: 80 000 + 350 egz.

Objętość: ank. wyd. 6,8 ark. druk. 7,4

Oddano do składu 21.07.78.

Podpisano do druku 7.09.1978 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku oddział w Gdyni

Zam. 2070 R2

Cena zł 20

Od Kuźnic na półwyspie Hel, aż po Rewę po drugiej stronie Zatoki Puckiej, ciągnie się wał mielizn. Ten wał mielizn znaczyły już najstarsze mapy, nazywając go Mewią Rafą, Mewim Ryfem, Mewią Rewą, albo — jak piszą na współczesnych mapach — Rybitwią Mielizną. Gdy w spokojny, bezwietrzny dzień wejść na Rewski Cyfel — piaszczysty jęzor lądu, wysuwający się od wioski Rewa głęboko w morze — zauważyć można na mieliźnie biwakujące gromady mew. Kiedy natomiast nadleci sztorm, w miejscu mielizny pojawia się biała krecha kipieli. To fale załamują się na piaszczystej rafie, plując pianą. Tylko w jednym miejscu kotłowisko nagle urywa się. Tam, właśnie znajduje się farwater czyli przesmyk, nazywany przez Kaszubów — Depką lub Dypką, a na mapach turystycznych oznaczony współczesnym mianem — Głębinki. Jest to jedyne bezpieczne wyjście dla łodzi z Rewy, Rzucewa, Pucka czy Swarzewa na otwarte morze, z najdalszych zakątków Zatoki Puckiej — czyli Małego Morza — na Wielkie Morze, na Bałtyk.

Legenda mówi, że niekiedy można było zobaczyć jak wzdłuż spienionej fali na grzbiecie rafy pędziło widmo jeźdźca. Inna baśń prawi coś o widmie żaglowca, które pojawia się we mgle, kierując się wprost na rafę.

Jeżeli ktoś zawierzył kursowi upiornego statku i popłynął za jego rufą, trafił wprost na mieliznę...

W słoneczne dni, przy wyjątkowo pięknej pogodzie, rybacy widują podobno w tym miejscu, wśród muszelek i kamieni, jakieś resztki zatopionych żaglowców oraz... złote i srebrne monety. Może to zrabowane skarby z rozbitego statku, a może tylko mieniające się w słońcu kamienie. Baśni i podań jest w tych stronach zresztą więcej — o dzwonach Starego Helu zatopionych razem z ruinami miasta na dnie Zatoki, o diable wyłowionym przez rybaków w czasie niedzielnego połowu, o pannie zamienionej w

mewę i o bursztynowych lasach, szumiących pod powierzchnią Bałtyku w rytm falowania morza. Kto by wszystkie zliczył...

Fascynowałem się kiedyś urokiem tych opowieści i bez reszty pozwoliłem ostatecznie wciągnąć się w czarodziejską atmosferę Zatoki. A potem, w porze zimowych sztormów, gdy burzliwe fale kruszyły pierwszą krę na piaszczystej plaży, dosiadałem rumaka wyobraźni i pozwalałem na jego grzbiecie nosić się po bezdrożach półwyspu. I kto wie — może to mnie widywali niekiedy wieczorową porą tutejsi ludzie, a nawet samego siebie spotkałem kiedyś nad brzegiem morza? Samego siebie — tyle, że odmienionego czarami Zatoki, z rapierem u boku, pistoletami w olstrach i w wielkim kapeluszu z piórem na głowie... I tak oto sceptyk spotkał się z widmem romantyka, aby wrócić następnie razem do ciepłego wnętrza pokoju, zasiąść przy biurku i zacząć pisać — jakby na przekór — tę romantyczną, awanturniczą historię.

1. OGNIE NAD ZATOKĄ

Na początku nie widział nic, ale później, kiedy wyteżył wzrok, wydało mu się, że w czerni bezksiężycowej i pochmurnej nocy błyska żółte światło. Zamrugało, osłabło i zgasło, aby po chwili błysnąć nieco dalej, ale już nikłą, martwą poświatą.

— Co to jest? — spytał komendant fortecy.

— Właśnie, co to jest — powtórzył chorąży Zaręba. — Wartownicy mówią, że czasami TO widują, zwłaszcza w takie noce jak dziś — mgliste, bezwietrzne. Prosto na Mewiej Rafie.

— Tam jest śmierć — powiedział komendant Janicz — tamtędy żaden statek nie przejdzie.

— Kiedyś podobno przechodził. Depka tam była taka, jak przy Rewie. Pono sam jegomość Weyher kazał ją przekopać, aby swe pinki pod Hel swobodnie wodzić. Były więc wtedy dwa przejścia przez Rafę. Potem piaski ten sztuczny przesmyk zasypały i rzeczywiście rządzi tam teraz tylko śmierć.

— Co więc to być może?

— Wiesz, panie, co tutejsi ludzie gadają?

— Nie wiem, a chciałbym wiedzieć.

— Orlog szwedzki tam chodzi. Nie orlog prawdziwy, ale widmo orloga. Mewią Rafę przechodzi lekko jak kurka wodna. Na pokładzie nikogo nie upatrzysz, jeno przy sterze. Kościotrup tam stoi w oficerskim kolecie i w kościstych dłoniach ster trzyma. A na rufie żaglowca szwedzka flaga łopoce.

— Łopoce? Nawet bez wiatru?

— Właśnie, łopoce. I żagle wydęte jak przy najlepszej bryzie. A wiatru za grosik nie ma. Sztil taki, że nawet mewy nie potrafią latać.

— Głędy to jakieś. Bajanie...

— Może i głędy, ale trupie światło sam jegomość dzisiaj widziałeś. Może się nam nawet jeszcze raz pokaże.

— Pokazało się. Teraz je też widzę. Bacik jakiś by tam wysłać trzeba z uzbrojoną załogą.

— Nie jest to od nas blisko, a w dodatku po mieliznach. Rybaka trzeba mieć za przewodnika i sternika. Ale stąd ani z Kuźnic, nawet z Jastarni — żaden nie popłynie, zwłaszcza nocą. Boją się..

— Próbowaliście kogoś namówić?

— Próbowaliśmy.

— Bez mojego rozkazania?

— Zwyczajnie — dla rekonesansu, żeby potem raport waszmości panu komendantowi złożyć. Rybacy odmówili, a u nas żadnego zucha na taką wyprawę nie ma. Dawniej byli w fortocy junacy, którzy potrafili i nocą na Małe Morze chodzić w szalupie, ale ci, którzy potrafili — zaciągnęli się na statki kupieckie. Ostały tylko same rębajły. A tu nie o kunszt fechtunku chodzi ani o umiejętność odpalenia z hakownicy, ale o żeglarstwo. A do tego zawodu my niezwyczajni. Sam trafiłem tutaj od dragonów. Jeśli Szwed-jucha się zjawi, to go zarąbiem... Obaczysz waszmość...

— Obaczę — jeśli się zjawi. Ale nie takim pewny waszego kunsztu na tym polu. Tymczasem mamy tu tylko upiory, co?

— Ano, wypada z tego, że tylko upiory.

— Wierzysz w upiory, Zaręba?

— Czemu nie, wasza miłość? W gdańskiej Jastarni podobno w żak samego diabła złowili. Nasi, z puckiej Jastarni, na własne oczy to widzieli. Czasy takie, że wszystko możliwe.

— Może masz rację, Zaręba.

— To co mam z tym robić?

— Z czym, chorąży?

— Z widmem na Mewiej Rafie, ma się rozumieć...

— Obserwować i raportować. Poczekamy. Może okazja się nadarzy, że sprawdzimy, co to za upiór.

— A w raporcie do pana Weyhera, jegomość o widmie napisze?

— Niewiele to da. Pułkownik co najwyżej rozkaże zbadać. Tacy mądrzy to sami jesteśmy. A jak zbadać — jeśli nasi do morskich awantur niezwyčajni, a miejscowi niechętni? Już raczej pogadamy o tym z naszymi ludźmi z Kazimierzowa. Oni także powinni coś widzieć, nawet jeżeli to upiór. Bliżej są...

— Ech, ci z Kazimierzowa! — machnął ręką chorąży. — Gdzież im do tak pilnych obserwacji!

— Pogadam z nimi przy najbliższej kontroli. A u nas kto dziś na warcie?

— Na bastionie południowym Alojz Paszkę, a wedle bramy Mietk Góra. Ale, prawdę mówiąc, jakby nas tu chcieli wydusić w twierdzy, nie przysłoby im to z trudem. Wysadzić desant, podejść lasem i zaskoczyć we śnie... Szwedzi to potrafią. W otwartej walce nie przysłoby im to tak łatwo, ale podstępem — kto wie? Obudzilibyśmy się z nożami przy gardłach.

— To prawda — mało nas. Żołnierz stary, wojaczką zmęczony,, gnuśny. Niedawno jeszcze zapewniałeś mnie, że tu same rębajły, ale ja wiem — prawda jest inna...

Umilkli, patrząc w stronę bariery raf i leżącego za nią Wielkiego Morza.

— Widzisz coś jeszcze, mości chorąży?

— Nie, wasza miłość. Już nic. Noc i śmierć — można powiedzieć. Tfy! — na psa urok. Lekki podmuch czuję na policzku. Wiatr wstaje. Rozwieje mgłę, rozkolebie morze, wtedy już z pewnością upiory znikną. Fali silnej one nie lubią...

— Miejcie na wszystko baczenie!

— To się wie, wasza miłość. Obejdę jeszcze bastiony, a potem dopiero legnę spać. Z nabitym pistoletem wedle ręki sypiam. Wiadomo — wojenny ze mnie człowiek. Ale podejść nas mogą. Jak mi Bóg miły, mogą. Mało nas. I święta racja pana komendanta — żołnierz już nie taki. Gdyby nie kredyt w gospodzie, który JW Pan Weyher polecił karczmarzowi dla żołnierzy otworzyć, źle by było — i ci ostatni odeszliby stąd. Może za chlebem, a może na rozbój, albo za ocean, do samej tej dziwnej krainy, którą Ameryką zowią. Jak to mówi pieśń?

... Już antypodów podziemna kraina

Nam nie nowina.

Już Ameryka, już i Magellana

Śmiałym Hiszpanom morzem dojechała,

Szczęśliwe wyspy, on bohaterski raj,

Wie o nim nasz kraj..

— Komisarza nam tu przysyłają — wypalił nagle Janicz, ściągając Zarebę z oceanicznych szlaków na Bałtyk.

— Król przysyłają?

— Tak jakby król. Pan kanclerz wielki koronny i pan hetman — w sumie to właściwie królewska wola. Może coś się wyjaśni w naszej sytuacji.

— Kiedy komisarza możemy oczekiwać?

— Każdego dnia, chorąży, każdego dnia.

— Dałby Bóg, żeby się odmieniło — inaczej Władysławowa nie utrzymamy. Bez prowiantu, bez prochu, bez żołdu... — nie, to już nie strażnica. To obozowisko nędznych myśliwych, którym miast broni tylko sidła zostały.

— Nie kracz, Zaręba. Wiem o tym i sam się martwię, ale tymczasem musimy tu trwać. Najdalej na północ wysunięty szaniec Rzeczypospolitej! Jeżeli napadną, to na nas pierwszych. Nawet na sejmie tak uważają.

— To czemu oszczędzają żołdu?

— Wyjaśni się. Zobaczysz, że wyjaśni się... A może ten komisarz z kiesą przybędzie? No, idę już. Z Bogiem, mości chorąży!

— Czołem, wasza miłość. Żebyśmy poranne słońce obejrzel. Z Bogiem!

— Nie ma obawy, Zaręba! Obejrzymy.

Komendant Janicz przyłożył dłoń do kołpaka — bo jednak przy kołpaku pozostał, choć inni jego kompani nałożyli już modne kapelusze — i zszedł z bastionu. Schody były strome, nie oświetlone (oszczędzano nawet łożu do latarni), mocno już nadwerężone. Dziedziniec pełen kałuż, błotnisty. Minął blokhauz koszarowy, gdzie przy jakimś ogarku, przebijającym blaskiem przez błoniaste szyby, jego wiarusi grali w kości. Dalej był budynek oficcerski — dziś niemal pusty, z mieszkaniem komendanta na piętrze. Do budynku przylegała kuchnia — obecnie już wspólna dla wszystkich, od kiedy załoga fortecy zmalała. Schody na piętro znajdowały się na zewnątrz i prowadziły na galerię, z której można było widzieć, cały dziedziniec, ale obecnie mrok był

tak gęsty, że nawet zarysy wałów niknęły w ciemności. Mimo to oficer zatrzymał się na galerijce, oparł o poręcz i wydawało mu się przez moment, że znów z tego miejsca, jak w 1635 roku — w czasie wizytacji królewskiej — patrzy na tętniącą życiem fortecę.

Władysławowo wzniesiono według planów Getkanta i Pleitnera w czasie, gdy kończył się rozejm ze Szwedami. Twierdza stanęła na półwyspie Hel, który w owym czasie od nasady aż do Jastarni należał do starostwa puckiego, a od Jastarni po cypel — do Gdańska. Stąd i Jastarnie były dwie — pucka i gdańska Fortecę zbudowano w połowie długości Helu Puckiego, nad jedną z sześciu przerw w mierzei, uczynionych przez burzliwe fale słynnych sztormowych lat przełomu stulecia, kiedy to król Zygmunt z Wazów praw swych do korony szwedzkiej dochodził. Fortyfikacje wzniesiono z wałów ziemnych i palisad, według najnowszej sztuki obronnej, stosowanej w Niderlandach. Cztery bastiony wzmacniały narożniki, a prócz nich, w połowie każdego długiego boku fortalicji, usypano dodatkowe baterie, zbliżone do systemu włoskiego. Pośrodku znajdował się dziedziniec z wieżą wartowniczą, z koszarami, prochownią, lamusem, spichrzem, kuchnią i domem oficerskim.

Twierdza stała na międzymorzu — mając z jednej strony Bałtyk czyli Wielkie Morze, a z drugiej Zatokę Pucką, nazywaną Małym Morzem albo Małym Wiekim. Przerwę w półwyspie planowano pogłębić i uczynić dogodną, dla ruchu statków z Zatoką na morze, ale po rozejmie w Sztumskiej Wsi zaniechano tego. Zresztą po rozejmie, na którego treść na pewno miało wpływ ufortyfikowanie półwyspu i zorganizowanie floty wojennej, okręty królewskie stopniowo także zmieniły armaturę wojenną na handlową, a znaczną część dział rozmieszczonych na półwyspie przewieziono do Pucka. Oddziały strzegące fortu wymaszerowały, a pozostała nieliczna załoga, która gdy zabrakło aprowizacji i żołdu, dodatkowo zmalała.

Generalnie dowodzącym całą obroną wybrzeża był pułkownik Jakub Weyher — wojewoda malborski, kasztelan chełmiński, starosta borzechowski, bytowski, człu-

chowski i kiszporni, sam wielce zasłużony i wywodzący się z zasłużonej rodziny. On to, gdy nie starczało grosza na żołd z królewskich przydziałów, do własnej sakiewki sięgał, każąc nawet karczmarzowi kredytować żołnierski wikt i żołnierskie zachcianki. Gospodę jak i łaźnię sam także wznosił, przez co popadł w konflikt ze starostą puckim Działyńskim. Rację swoją przed sądem jednak obronił, uzasadniając, że nie samym tylko chlebem i prochem żołnierz żyje.

Istniała jeszcze jedna fortalicja króla Władysława na Półwyspie Helskim — Kaziemierzowo, ale był to właściwie tylko szaniec, na którym po rozejmie w Sztumskiej Wsi pięciu ludzi zostawiono, podporządkowując ich rozkazem komendanta Władysława — Jarosława Janicza.

Janicz wiedział, że żołnierz traci ducha bojowego, marnieje, że dyscyplina rozpręga się i jeszcze rok takiej sytuacji, a zostanie być może w tej fortecy sam albo tylko z chorążym Zarębą. Część ludzi odbieży, część wypowie służbę, a resztę sam będzie musiał przegnać.

Liczył więc na komisarza królewskiego, którego przybycie zapowiedziano i mamił tą wizytą swoich ludzi, obiecując, że w ślad za komisarzem zjawi się zaległy żołd, ale sam zdawał sobie sprawę, że sytuacja ma się zupełnie inaczej. Komisarz przybywał nie w efekcie jego rozpaczliwych wołań o naprawę i uzbrojenie fortyfikacji, o prowiant, proch i pieniądze dla żołnierzy, ale wskutek oskarżenia, jakie rajcowie gdańscy wysunęli pod adresem jego żołnierzy — pomawiając ich o uczestniczenie w pirackich rozbojach na wybrzeżu i sprowadzenie na sztrań statków kupieckich, aby potem łupić rozbite na mieliznach wraki. Co będzie, gdy załoga straci zaufanie do jego słów, do obietnic pułkownika Weyhera, do samego króla? Wtedy — mimo trwającego rozejmu, będzie należało oczekiwać rekonesansowych desantów szwedzkich na półwyspie, które w końcu zagrożą twierdzy w Pucku. A może nie tylko twierdzy w Pucku, ale całej Polsce?

Dziwnych wiadomości o tajemniczych ogniach na sztrądzie, o żaglach spostrzeżonych u wybrzeży, a wreszcie o tych niezwykłych światłach nocnych na Mewiej Rafie było coraz więcej i zagęszczały duszną atmosferę wewnątrz fortu i wokół niego.

Janicz był wdowcem. W wojnie szwedzkiej na początku siedemnastego stulecia, służąc jeszcze pod pułkownikiem Janem Weyherem, utracił dom. W czasie zagonu rajtarii zginęła jego żona i dziecko. Od tego czasu zdziwaczał, ale i — w swoim przekonaniu — stwardniał. Czuł się do końca związany z tą twierdzą i powierzonymi jego pieczy morskimi sztańcami Rzeczypospolitej. Gdyby nawet przyszło zostać mu tutaj samemu, postanowił nie ruszać się nigdzie.

Miał tylko jedną słabość — Krystynę, dziecko morza.

Wyłowiono ją razem z drewnianą kolebką, niemal jak małego Mojżesza, na brzegu puckiej Jastarni, w pamiętnym czasie oblężenia Pucka przez wojska hetmana Koniecpolskiego. Nazwano Krystyną, bo imię „Christa” znaleziono wyhaftowane na poduszce. Że dziecko nie utonęło lub nie zmarło z przeziębienia — uważano za cud. Skąd pochodziła mała Krysta — nie wiadano. Może z jakiejś wsi spalonej przez Szwedów w czasie walk po drugiej stronie Wiku, może z zatopionego okrętu? Na Mewiej Rafie poszły wówczas na dno trzy. Dwa szwedzkie i jeden barkas płynący z rybami do Gdańska...

— Hej, to pan komendant?

Janicz poznał po głosie żołnierza Górę. Widocznie obchodził fortecę, zgodnie z rozkazami. Ale jak mógł go w tej ciemności wypatrzeć?

— Jam jest. Jak mnie zobaczyłeś, Góra, przy takiej ćmie?

— Wartownik winien mieć kocie oczy, wasza miłość, a ja, jak tylko z nocą się oswoję, każdy ruch o dwadzieścia kroków zauważę. Alojz tego nie potrafi i każdy kiej nocą go podejdzie, ale ze mną sztuka ta nie uda się nikomu. Naprawdę widzę w

nocy jak kocur. Może dlatego tak mi się wzrok wyostrzył, że tylko jedna ręka u mnie sprawna. W drugiej kula szwedzka jeszcze siedzi...

— Dlatego bez latarni chodzisz?

— Oliwy do latarni nie ma, łożu także brakuje. Zdać się trzeba na kocie oczy i psi węch.

— To i węch psi u ciebie?...

— A to już nie, wasza miłość! Ze mną wartuje razem Salomon, mój pies. Stąd mowa moja o. węchu.

— Nie wymyśliłeś innego imienia dla psa, jeno Salomon? Czyżby to jakiś psi mędrzec?

— Szczeka wtedy, gdy uzna, że warto szczekać i tylko na obcego. A swoich w twierdzy zna. Zawsze jest ze mną na warcie — ja się wtedy pewniej czuję, a on wie, że jest mi potrzebny. Szuka jegomość córki?

Córką komendanta mianowali tu wszyscy znajdę Krystę. Zresztą może nawet niektórzy uważali ją rzeczywiście za jego córkę? On sam chwilami w to wierzył. Była to bowiem jedyna mu droga istota na świecie. Małym dzieciątkiem chowano ją w pewnej zacnej rodzinie szyperskiej w Pucku, potem poszła na edukację do panien norbertanek w Żarnowcu. Wreszcie zamieszkała razem z nim. Za datę urodzenia przyjął dzień jej znalezienia — miała więc dziś, wedle tej rachuby, lat siedemnaście, choć w rzeczywistości może nieco więcej. Smukła jak topola, jasnowłosa, niebieskooka — prawdziwa córa wikingów. Więc może rzeczywiście nie z kaszubskiego brzegu był jej ród, ale ze Skandynawii?

— Wypatrzyłeś w tej ciemności moją córkę?

— Wszystko wypatrzę, wasza miłość.

— Nie ma jej więc w domu?

— Nie ma. Po próżnicy jej tam szukać. Jest na wieży.

— Na wieży?

— Bez światła tam poszła — nie straszno jej widać... A może i ona kocie oczy posiada jako ja?

Janicz znał te jej wycieczki na szczyt wieży obserwacyjnej. Świat był tu przecież ograniczony wałami twierdzy, a z wieży można było zobaczyć cały obszar Małego Morza, sylwetę Pucka, jezior Helu Gdańskiego porośnięte gęstym borem i wreszcie otwarte morze, na horyzoncie którego zawsze majaczyły żagle okrętów płynących z Gdańska lub do Gdańska. Nonsensem było dalej tu ją trzymać, ale co innego miał jej zaproponować? Chyba zamążpójście — ale za kogo? Za kogoś z ostatnich rębajłów jego załogi — gdy odeszli już co lepsi? A może za kogoś z tutejszych rybaków — ludzi zamkniętych w sobie, skrytych, prowadzących surowy żywot, których białki w wieku lat dwudziestu pięciu podobne były pięćdziesięcioletnim gdańszczankom, bez gładkości tamtych i bez wdzięku, a pięćdziesięcioletnie — staruchom? Nie rozmawiał z nią ani o przeszłości, ani o przyszłości. Była jego córką i winna była to przyjąć bez tłumaczeń. Jaki los ją czekał? Tego i on nie wiedział, nawet gdyby chodziło o jego zdanie na ten temat, a nie o wróżby. Nie miał żadnego zdania.

— Zaraz za drzwiami znajdzie jegomość latarnię na haku. Dać waszmości hubkę i krzesiwo?

— Mam zawsze przy sobie...

Wydało mu się, że noc uczyniła się jaśniejsza, albo po prostu jego wzrok już przywyknął do ciemności. Rozróżnił czarną linię wałów i fortyfikacji na tle granatowego nieba. Roziskrzyły się dwie lub trzy gwiazdy — a więc wypogadzało się. Dostrzegł nawet sylwetkę żołnierza.

— Z Bogiem, waszmość komendancie...

— Z Bogiem...

Teraz miał przed sobą masyw wieżycy. Bez trudu znalazł drzwi, a potem wymacał latarnię. Nie zapalił jej jednak, ale zabrał z sobą i poszukał schodów. Trzepot skrzydeł zasygnalizował o nocnych mieszkańcach budowli — może nietoperzach, może puszczykach. Aż dziw, że Krystyna nie lękała się w taką noc leżąc w tę czarną czeluść. Schody były spadziste, kręcone. Wykonywano je pośpiesznie, bo każdy dzień groził wówczas wojną, ale po rozejmie już nikt ich nie poprawiał, niektóre stopnie obluzowały się, więc cegły tu i tam powpadały. Nie był to średniowieczny donżon, nie mieściły się tu półpiętra mieszkalne, a strzelnice służyły tylko do oświetlania czeluści w dzień. Nocą, zwłaszcza w taką noc jak ta, nie służyły niczemu.

Na szczycie mieściła się platforma okolona murem, z zębatymi blankami na wysokość człowieka. Pośrodku drzewce, na które wciągano dniem flagę królewską. Obok żelazny kosz na utrzymywanie ognia sygnalizującego. Nie opodal schodów — jeden falkonet, tyleż do celów obronnych jak i sygnalizacyjnych. Dawniej odpowiadano z niego zawsze, gdy mijające okręty salutowały flagę. Obecnie stosowano to rzadko — mało było przecież kul i prochu.

Na policzku odczuł Janicz silniejszy powiew bryzy, a więc istotnie pogoda zmieniła się. Gwiazd też jakby przybyło na niebie, które z czarnego uczyniło się granatowe. Od otwartego morza szedł lekki poszum wznoszącego przy boju, natomiast zatoka leżała pogrążona w ciszy.

Bardziej wyczuł niż stwierdził obecność dziewczyny i dopiero po chwili zobaczył jej sylwetkę na tle nieba.

— Kto tu? — spytała cicho, zupełnie bez lęku, jakby tylko upewnić się chciała o czyjejs obecności.

— Ojciec... — odpowiedział i chyba po raz pierwszy w życiu słowo to wymówił z trudem. Odnosił wrażenie, że coś się zmieniło w Krystynie i w całym otaczającym ich

świecie. Wierzył dotąd zawsze, przez siedemnaście lat, że to znalezione dziecko, cudem wrócone życiu, zastąpi mu utraconych bliskich, zagłuszy dawny ból, przyniesie samą radość. Dziś w brzmieniu jej głosu czuł obcość. — Nie lękasz się choroby, Krysta? — zapytał, używając tego zdrobnienia, które wyczytał kiedyś na kołderce niemowlęcia. — Wiatr tu zimny hula, wprost od Wielkiego Morza.

— Dopiero się budzi wiatr, ojcze...

— Na co patrzysz w tej ciemności?

— Na gwiazdy, ojcze.

— Niewiele ich dzisiaj, zresztą dopiero niedawno wstały spoza chmur.

— Są gwiazdy, które pływają po niebie i są takie, które pływają po morzu.

Przypomniał sobie, że kiedyś pokazywał dziewczynie latarnie, znaczące kurs żaglowców mijających kosę Helu. Dziewczyna nie stała jednak - po stronie, skąd mogłaby obserwować otwarte morze.

— Patrzyłaś ku Mewiej Rafie?

— Tak. Widma tam straszą... Podobno niejeden okręt poszedł tam na dno...

— Były przypadki, że biały szkwał zniósł z kursu statek płynący ku Gdańskowi albo z Gdańska do Pucka i zepchnął na mielizny. Zdarzały się i inne nieszczęścia...

— W czasie wojen...

— Tak, w czasie wojen. Szwedzi mieli dobre mapy, dobrych pilotów, a i tak wchodzili ze swoimi okrętami na hak. Przecież dzięki temu imć pan Jan Bąk - Lanckoroński zdobył kiedyś orlog o twoim imieniu — „Cristina”. Czemu pytasz? Nie dają ci te widma spać?

— Nie dają... — odpowiedziała krótko i zamilkła, ale musiała nagle dojść do wniosku, że właśnie nadeszła odpowiednia pora dla zadania innych pytań, bo po chwili znów się odezwała. — Ojczy, kim była moja matka?

— Ktoś ci może coś napłótl? Gdzie ty dziś chodziłaś, Krysta?

— Byłam w gospodzie po mleko. Przyniosłam także gąsior węgryzyna. Przecież sam kazałeś — na okazję przyjazdu komisarza.

— Tak, kazałem. I co, nagadali ci w gospodzie czegoś? Z kim rozmawiałaś? — spytał gwałtownie.

— Czemu się złościysz, ojczy? Czy nie mam prawa zapytać cię o matkę? Zawsze dotąd odpowiadałeś kilku słowami na moje pytanie. A te kilka słów w gruncie rzeczy nic mi nigdy nie wyjaśniło.

— Jeśli nie chcesz powiedzieć kto, może więc wyjaśnisz, co ci powiedziano w gospodzie?

Siadł na murku i zaczął krzesać ogień, aby zapalić latarnię. Blask iskier obudził w oczach dziewczyny migotliwe ogniki. Zapaloną lampę ustawił przeciw wiatrowi i podniósł wzrok na przybraną córkę. Miała wyraz twarzy taki, jakiego dotąd u niej nie widział.

— Skąd się tu wzięłam, ojczy? Podobno morze przygnało mnie na brzeg w kolebce, a tyś postanowił ofiarować mi dach, ciepło, strawę.

— Postanowiłem ci dać serce własne, Krystyno, i dałem ci je. Jesteś dziś moją córką. To ci nie wystarczy?

— Zaczyna nie starczać. Przyznajesz, że znalazła „dziecko morza”? — Może moją matką była topielica, może syrena, może ojcem Smętk albo Purtk — jak tu mawiają.

— Matką twoją było morze, ojcem jestem ja. Tak to przyjmij.

— Kiedy nie mogę.

Stała przed nim piękna — z tymi ognikami w oczach, które wydały mu się odbiciem płomyka latarni, ale które nagle upodobniły się do błędnych świateł nad Mewią Rafą. Powiedzieć jej prawdę? Chyba ktoś ją już zdradził. Nie było celu nic ukrywać.

— Zdarzyło się to w czasie oblężenia Pucka przez hetmana Koniecpolskiego. W Pucku bronili się Szwedzi. Wiele wsi poszło wtedy z dymem, wielu ludzi wybito. Na brzegu znajdowano co rusz jakieś przedmioty domowego użytku, skrzynie, beczki, niekiedy części z rozbitego okrętu. Znalaziono również masywną, jak szalupa, kolebkę. W takie kolebki układano dzieci żeglarzy, gdy wybierano się na morze — aby nie utonęły, gdy ginął statek. W takiej kolebce znalaziono ciebie. Była zima, choć wyjątkowo łagodna i bez sztormów.

— Rozbiły się wtedy jakieś statki?

— We mgle weszły na siebie dwa statki — barkas płynący z rybami do Gdańska i szwedzki patrolowiec z Piławy. Oba zatonęły, a wraki obu rozbiły fale na Mewiej Rafie. Potem jeszcze jeden, także szwedzki. Pono z Pucka przez królewską blokadę się przebił i szukał dawnego przejścia w Mewiej Rafie, które jeszcze pan Weyher przekopać kazał. Może uciekali na nim z Pucka ci, których nie zabrały ostatnie dwa ewakuacyjne żaglowce „Leoparden” i „Pelikanen”? Nie wiem. Po prostu — nic więcej nie wiem. Miałaś na kołderce wyhaftowane imię „Christa”. To uszanowałem, a na resztę zamknąłem oczy. Czy uczyniłem ci kiedyś krzywdę?

— Nie nigdy, ale nie dziw się, ojcze, że chcę znać prawdę o sobie. I widzisz — nazywam cię dalej ojcem. Nic więcej o mnie nie wiesz?

— Mniej chyba niż ty sama, bo resztę w sercu czytasz. A o tamtej sprawie — nic...

— Czemu przyszedłeś tu dzisiaj za mną?

— Niespokojny jakiś jestem.

— Widziałeś błędne ognie na Mewiej Rafie?

— Może one błędne, a może nie błędne. Nic o nich nie wiem. Zaręba mi je pokazał.

— Widziałam je już kilka razy. Może to straszą ci, którzy tam umarli? Opowiadają także, że płynie tam czasem barkas, u steru którego stoi kościotrup.

— Nie wierz w takie bajania. To babskie głędy.

— Wiem, że nie to cię gnębi, ojcze, ale forteca. Widzę przecież, że belki gniją, wały rozsypują się, nie staje ani jedzenia, ani pieniędzy. Wkrótce zostaniesz sam jeden w całej twierdzy — ty w jednej osobie: komendant i załoga. W takich chwilach siostry zakonne, u których się uczyłam, nakazywały ludziom modlitwę, post i ofiary. Ty nie modlisz się, a zamiast pościć — sięgasz po wino. Nawet ofiar nie miałbyś z czego dawać, chyba własne życie.

— Jestem żołnierzem, więc kiedy Szwedzi napadną, oddam tu życie.

— O Szwedach różnie mówią. To dzielni ludzie.

— Niech będą sobie dzielni u siebie, a nie tutaj.

— A może i ja od Szwedów przyszlłam?

— Może. Nigdy tego nie zgadnę. Ty również.

— Na co czekasz, ojcze, w tej ginącej twierdzy — na cud czy na śmierć?

— Nie wiem. Żołnierzom powiedziałem, że sytuacja się zmieni po wizytacji komisarza królewskiego. Ma tu przybyć w najbliższych dniach. Może nawet jutro. Ale czy tak będzie w istocie? Komisarz przybywa w sprawie rozbicia na brzegu, koło Karwi, holenderskiego statku kupieckiego „Andromeda”, a o naprowadzenie go na brzeg i ograbienie wraku oskarża się załogę Władysławowa. Pewnie mnie także. Motywy są oczywiste — jesteśmy głodni i pozbawieni żołądu, nawet sam pułkownik Weyher skąpi

ratunku, jeno kredyt w gospodzie nam otworzył. Zajęty czym innym — nowe Jeruzalem podobno buduje na swoich gruntach. Miasto, które ma być tak wielkie jak Puck. Zamojski zbudował Zamość, Weyher buduje Weyherowo.

— Więc nawet komisarz królewski nic nie zmieni?

— Pogadam z nim, może zmieni. Ale nadziei mam niewiele. Prawdę mówiąc — jest tak, córko, jak sama powiedziałaś: czekam na cud, a jeżeli nie zdarzy się — na śmierć. Szwedzi nas tu w pokoju nie zostawią. Siedzą w Inflantach i nad Odrą, ich okręty kotwiczą nawet w Piławie. Gdy przepływają wzdłuż brzegu, dostrzegają nad Władysławowem flagę królewską. Salutują więc ją wystrzałami. Jak wiesz, każę oszczędzać prochu, bo to już reszta naszych zapasów, ale odstępuję od tych zasad wówczas, gdy widzę Szwedów — każę w takim momencie bić z tego tutaj ostatniego falkonetu. Niech wiedzą, że Janicz wciąż jeszcze czuwa...

Umilkł.

Mgła już zeszła, gwiazdy obsiadły całe niebo, wiała lekka bryza, znakomita dla żagli. Może dlatego w checzach zabłysły światełka — gotowano sprzęt, aby skoro świt wyjść na morze. Pogoda wróżyła dobry połów.

2. KOMISARZ KRÓLEWSKI

— Nazywam się Stuwe — powiedział szczupły mężczyzna, ubrany w prosty, czarny, żołnierski kubrak, upięszony jedynie białym, koronkowym kołnierzem, Rapiér odpaszał już przedtem i trzymał oparty o biodro, ale w taki sposób, że rzeźbiona rękojeść wystawała ponad stół. Nie wiadomo — celowo tak czynił, aby podkreślić wojskowy charakter swej misji i stałą gotowość walki, czy też był to zwykły przypadek. Mógł mieć lat niewiele ponad trzydzieści, twarz gładką, bez zarostu — co na pierwszy rzut oka czyniło go młodszym i mogło osłabić respekt wobec funkcji jaką spełniał, oczy bystre, usta silnie zwarte, nos lekko orli, podbródek wysunięty nieco do przodu, chciałoby się określić — zaczepnie. Cera jego była lekko smagła — ale tym odcieniem, który uzyskuje w czasie dalekich podróży, włosy ciemne, dość krótkie, ostrzyżone — jak pod koniec wojaczki zwykli nosić wallensteinowscy żołnierze. Siedział na końcu długiego stołu, mając po przeciwległej stronie człowieka, który wyraził zgodę zobaczyć się z nim w sprawach państwowej wagi. Stół obsiadali zazwyczaj po obu długościach rajcowie — ale dziś nie było nikogo więcej prócz młodego oficera koronnego i starego gdańskiego patrycjusza, piastującego godność burmistrza. Na środku stołu paliła się tylko jedna świeca w mosiężnym kandelabrze, rzucająca wyolbrzymione, czarne cienie na ściany ratuszowej komnaty.

— Nazywam się Stuwe — powtórzył młodszy — Bernard Stuwe... Przysłał mnie tutaj JW Pan kanclerz wielki koronny, a przytomny powierzenia mi tej misji był JW Pan hetman wielki koronny, który te strony dobrze zna.

— Wiem, wiem... — przytaknął nerwowo burmistrz, człowiek tęgi, którego mi-sterna, czarna peruka nie mogła ukryć podeszłego wieku wypisanego głębokimi bruzdami i siecią zmarszczek na kupieckim obliczu. Ubrany był w fioletowe aksamity, które w tym świetle wydawały się tak samo czarne, jak kurta przybysza. Jedynie złoto

symbolu władzy i misterniejszy haft kołnierza — dzieło brabanckich panien — zdradzały wysoką hierarchię. Jego dłoń błysnęła także bielą koronek i czerwienią rubinów w sygnecie, zanim na oparciu krzesła wybijać zaczęła niespokojny rytm. Poprawił się w swoim krześle, potem lekko przechylił w bok, aby płomień świecy nie mącił mu obrazu twarzy przybysza i dodał, że rada otrzymała specjalne pismo w tej sprawie i zostało tam wymienione nazwisko Stuwe, kapitana Bernarda Stuwe. Wiedzieli, że wysłannik marszałka wielkiego koronnego zjawi się w Gdańsku i że winni mu pomóc. — Nazywają tam wasz- mość pana commissarius, choć dawniej jeno sejm władny był mianować kogoś komisarzem. Teraz nawet kanclerz, albo i hetman... — Nagle przerwał i podjął po chwili tę samą myśl, ale kontynuował ją po niemiecku, z akcentem hanzeatyckich lubeczan. Może sprawdzić chciał, czy Stuwe i ten język zna? — Sądzi- liśmy tylko, że zjawi się ów komisarz na zakończenie swej misji — po wizycie na He- lu i w Pucku, a nie na początku. Pomożemy ci, panie, chętnie — przecież to w naszym interesie. W gruncie rzeczy to nasza sprawa... Stała się rzecz straszna, a jak to mawiali Rzymianie — *extremis malis extrema remedia*. Przytomny jesteś waćc tego co mó- wię? — zagadnął nagle najczystsą polszczyzną — to po łacinie. Znaczy się: na osta- teczne zło, ostateczne lekarstwo...

— Przytomnym wszystkiego, co waćpan mówisz.

— I w polskim, i w niemieckim, i po łacinie?

— Z Holendrami mogę mówić ich językiem, a z mieszkańcem Sztokholmu jak je- go rodak.

— Zdziwiasz mnie, panie, bo nie zdążyłeś jeszcze w życiu wiele zobaczyć, wiele przeżyć. Młody jesteś. A można poznać twoje zadanie, które w tej konkretnej sprawie otrzymałeś? Co chcesz tutaj zbadać? Co pragniesz odkryć?

— Prawdę — odpowiedział Bernard Stuwe. — Tylko prawdę...

Burmistrz znów poruszył się nerwowo, aż jego olbrzymi, czarny cień zakołysał się na ścianie na kształt wielkiego nietoperza.

— Prawdę... prawdę... — powtórzył przekornie i strzepnął palcami. — Czy może być inna prawda, prócz tej, o której donieśliśmy królowi?

— To były przypuszczenia...

— Ale poparte faktami. Holenderski statek „Andromeda”, który zmierzał z ładowniami pełnymi towarów do Gdańska, został zdradziecko naprowadzony na brzeg w okolicy Karwi i rozbity, a towary rozkradziono. Wszyscy świadkowie zniknęli. Wokół szczątków wraka nie znaleziono w ogóle ani jednego ciała, a nawet w tydzień później żaden sołtys sztrađowy nie zameldował, że gdziekolwiek fale wyrzuciły na plażę trupa. Po prostu — cała załoga zniknęła, zniknęły towary, a pozostał na brzegu tylko rozbity kadłub — drewno na opał... Jest to oczywiste piractwo i jeżeli nie znajdą się winni, rajcowie Gdańska zwrócą się o ponoć do Niderlandów, do Danii, do Anglii, do Szwecji. Na Bałtyku nie będziemy tolerować rozboju. Od czasów Klausa Stoertebekera i jego Braci Witalijskich — żegluga jest tu bezpieczna. Hanza przepędziła stąd rabusiów.

— Nigdy nie była zupełnie bezpieczna...

— Masz, panie, może na myśli kaprów? Może Pawła Beneke? Ależ to daleka przeszłość! A kaprzy królewscy Zygmunta Augusta, owi awanturnicy — zowiący siebie „custodes Maris Baltici?” Można było pertraktować w ich sprawie z królem...

— ...albo ich topić...

— Tak, nawet topić! Miasta nad Bałtykiem żyją z rybołówstwa, żyją z handlu. Muszą dbać o wolność żeglugi...

— To, co stało się ostatnio, a co zaniepokoiło rajców Gdańska, zaniepokoiło, także samego hetmana wielkiego koronnego oraz kanclerza wielkiego koronnego, ba, sam

król był wielce tą wiadomością wstrząśnięty i w gruncie rzeczy z jego osobistej woli postanowiono zbadać wszystko na miejscu. Statek płynący z Niderlandów, noszący imię "Andromeda" zatonął rzeczywiście w tajemniczych okolicznościach. Sugerowaliście w swoim liście do króla, panie, kto mógł tego dokonać. Jeżeli domniemania okażą się słuszne, sprawcy zostaną ukarani z całą surowością prawa.

— Kto nam to gwarantuje?

— Ten, kto jest moim bezpośrednim zleceniodawcą — kanclerz wielki koronny. A jemu zlecił to ktoś najwyższy w hierarchii władzy w państwie. Gwarantuje to majestat króla, miłościwie nam panującego Władysława Wazy.

— Czyżby więc moja rozmowa z tobą miała taką samą moc prawną, jakbym rozmawiał z Jego Królewską Mością? — zapytał burmistrz z ironią w głosie.

— W funkcji swojej — ma taką moc. Pośrednio spełniam ordynans królewski.

— Czy nie za wiele sobie przypisujesz?

— Jestem królewskim komisarzem, z polecenia króla powołanym przez kanclerza wielkiego koronnego i z pieczęcią hetmańską. Mam tak brzmiący jego glegt,

— A przecież nie jesteś rdzennym Polakiem. Jak więc się stało, że tobie, panie, sprawę tę powierzono?

— Mój dziad, Egon, który pisał się jeszcze Steuve, służył pod królem Polski Zygmunt III Wazą na ziemi szwedzkiej, gdy ten swoich praw do korony Szwedów i Gotów bronił. Potem z tymże miłościwym naszym panem opuścił brzegi Szwecji, lądując u jego boku w Lisim Jarze. Nie był jednak Szwedem. Pochodził z Fryzów, ale ostatecznie osiadł na stałe w Polsce i tu wychował swego syna, a mojego ojca — w duchu posłuszeństwa prawom Rzeczypospolitej. Mój ojciec zaczął się pisać po prostu Stuwe — choć klejnot u nas obcy. Sami wybraliśmy tę ziemię za matkę. Nie była dla nas nigdy macochą.

— Ta ziemia też jest moją matką, panie Stuwe, ale ojcem moim handel/ Tak my, kupcy, pojmujemy te sprawy w Gdańsku.

— W gronie rady?

— W gronie rady — a rada stanowi tu naczelną moc i prawo. Pojmujesz, panie?

— Pojmuję.

— Rada stwierdziła oto, że w jej mniemaniu statek „Andromeda” zatopiony został fortelem pirackim przez ludzi, którzy niejednego już czynu sprzecznego z porządkiem się dopuścili. Nie my procesujemy się z gubernatorem fortów królewskich na helskiej mierzei, ale starosta pucki.

— Nie o piractwo jednak spór idzie pono, ale o budowę karczmy...

— Widzę, że ktoś cię już w tej materii informował, panie, ale nie ze wszystkim. Wiedz, że o prawa sztrałdowe także, a dotyczą one zbierania szczątków statków wyrzuconych na brzeg przez fale. Na całym wybrzeżu polskim spraw tych pilnują starostowi sołtysi sztrałdowi, ale koło fortec helskich — władzy nijakiej nie mają. Nie to zresztą jest ważne — rzecz w tym, że wśród załóg fortów królewskich — Władysławowa i Kazimierzowa — rozprężenie i brak dyscypliny się ujawniły. A przyczyna tego — pustki w szkatule. Nikt żołdu żołnierzom nie wypłaca! Rozejm ze Szwedami trwa — niepotrzebni są już ci „custodes maris” na półwyspie.

— I na tej podstawie rada wyciągnęła wnioski, że pozbawiony żołdu królewski żołnierz próbuje sobie braki te powetować napadając na statki kupieckie?

— Jest przyczyna, może więc być i skutek.

— Domniemana przyczyna i domniemany skutek, ^akt pewny jest tylko jeden — „Andromeda” rozbiła 4ę na brzegu, a ktoś zrabował wyrzucone na plażę szczątki i usunął świadków. Nie wiadomo jeszcze, czy rozbitcie było spowodowane fortelem pi-

rackim, czy sztormem. Niewątpliwie jednak — dokonano tu rozboju. Mam znaleźć winnych i oddać ich w ręce królewskiej sprawiedliwości...

— I wydaje ci się, panie, że ty — tak młody wiekiem i doświadczeniem, wywiążesz się z tego zadania?

— Może istotnie wiek u mnie młody, ale o doświadczeniu moim wiele nie wiesz, panie burmistrzu. Pragnę zapewnić cię, że byłem już w wielu sytuacjach wcale trudniejszych, a nauki prawa pobierałem od wielkich mistrzów tych spraw na zachodzie Europy. Nie miejsce i okoliczność tu na szczegółowe rekomendacje mojej osoby, ale gdy z polecenia JW Pana Ossolińskiego zjawiam się z jego giejtem, spełniającym życzenie majestatu królewskiego, starczyć to powinno za wszelkie szczegóły. Zapewnić cię pragnę panie także, a ty uspokój prześwietną radę, że ustalę tylko prawdę, bez względu na to dla kogo będzie ona bolesna.

— Nie zawahasz się jej objawić, jeżeli miałyby nawet dotknąć Weyherów, którzy od lat są protektorami awantur sztrażowych?

— Nie zawaham się. Nie znam zresztą ani jednego z Weyherów choć siła o nich dobrego słyszałem. Nie dawno wróciłem do kraju po dalekich wożach.

— I pierwsza to twoja misja w kraju?

— Nie, nie pierwsza.

— Ale pierwsze kroki na gdańskim wybrzeżu skierowałeś do mnie, zamiast rozpocząć badanie tej tajemnicy u podstaw...

— Widziałem się już w Gdańsku z przedstawicielem kompanii amsterdamskiej, a teraz jestem w miejscu skąd oskarżenie przeciw załodze Władysławowa wyszło.

— W dyskursie łatwo ci ulec. A jeżeli napotkasz takich, których dyskurs nie przekona?

— Mam wtedy pieczęć JW Pana Ossolińskiego oraz odbity w laku sygnet JW Pana Stanisława Koniecpolskiego."

— A gdy i tym nic nie zwojujesz?

— Mam jeszcze rapier, a tym narzędziem przyuczono mnie posługiwać się nie gorzej od pióra gęsiego...

— Hardy jesteś...

— To także skutek doświadczeń życiowych. Tę hardość wpojono mi w domu i do niej nakłaniano w służbie królewskiej. Jestem hardy, to prawda.

— Spełniasz więc, panie — jak widzę — specjalne zadania w służbie, królewskiej. Wysyłają cię tam, gdzie mrok nie pozwala nic dojrzeć z wysokości tronu. A ty bierzesz w jedną rękę łuczywo, w drugą rapier i zstępujesz w dół, do lochów lub wzwyż — na szczyty wież. Tam odkrywasz tajemnice, rozwiązujesz gordyjskie węzły i powracasz do własnego życia, do swojej postaci i osobistych spraw. Nie na długo jednak, bo oto znów znaleziony zostanie jakiś inny mroczny zakamarek, jakiś nieodgadniony labirynt, w którym straszy — a ty, panie, dumny z zaufania, jakim cię darzą, jesteś już gotów do podróży. Załadowałeś pistolety i oczyściłeś rapier, aby lekko siedział w pochwie. Zapalasz łuczywo i wstępujesz w mrok. Czy tak?

— A gdyby istotnie tak właśnie to wyglądało i gdyby[^] bym znajdował w tym rozkosz przygody, większą niż rozkosz kupieckiego życia i tego, co nazywasz panie osobistymi sprawami?

— Gdyby tak było, a przecież zgaduję, że chyba tak jest. Warto jednak pamiętać, że są takie ciemne kąty i zawile labirynty, z których się nie powraca na światło dzienne. Nigdy.

— Czy straszysz mnie, panie?

— Nie. Upominam młodego człowieka, powołując się na doświadczenia mego wieku. A ja widziałem już wielu takich jak ty.

— Wróżysz mi śmierć?

— Źle mnie zrozumiałeś. Nie chodzi tylko o śmierć, ale o to, że sprawa jakaś, na którą się gdzieś natkniesz, nie pozwoli ci spoglądać na nią beznamiętnie. Wciągnie cię w swoją głębię, zaangażuje po jakiejś stronie. Nagle inaczej popatrzysz na tych, którzy cię wysłali i na tych, których ścigasz, na swój rapier, na swoje dłonie, na swój obraz odbity w lustrze. I wtedy może zapomnisz, co jest prawdą, a co nią nie jest. Może się zdarzyć, że nie wyjdiesz już nigdy z mrocznego kąta, z ciemnego labiryntu, a nawet — jeżeli już wyjdiesz, to oślepniesz od blasku dnia. N

Grube palce mięsistej dłoni burmistrza znów zaczęły wybijać niespokojny rytm na oparciu krzesła.

Oficer królewski doszedł do wniosku, że audiencja została zakończona i nie ma już żadnego sensu przedłużać tej rozmowy. Burmistrz chyba także był podobnego zdania, bo nagle w innym zupełnie tonie zapytał, gdzie wysłannik królewski zamieszkał. — W zajezdzie „Pod Starym Szkotem” na Oruńskim Przedmieściu — odpowiedział Stuwe.

— Czemu tak daleko?

— Dotarłem do Gdańska zbyt późno, aby wjechać do miasta, musiałem więc poszukać lokum na przedmieściu. Zajazd to jednak dobry i mogę zostawić pod opieką gospodarza moje konie, gdy wybiorę się do fortecy, na mierzeję...

— Konie? Nie jesteś więc sam?

— Jest ze mną pewien Kozak.

— Służący?

— Nie. To wolny Kozak i z rycerskiego rodu, Na morskim rzemiośle się zna i szablą robić potrafi. Z ojcem swym chodził na czajkach aż pod Stambuł i Kaffę.

— Z Kozakami mieliśmy tu kłopoty, gdy pan hetman Koniecpolski ściągnął ich na wody Zalewu. Dowodził nimi pułkownik Konstanty Wołk...

— Z moim Kozakiem nie będzie kłopotów. A wracając ad rem — spodziewam się pomocy rady. Chcę z Gdańska dotrzeć do Latarni w Wisłoujściu, a z Latarni popłynąć morzem do fortancji pana Weyhera, do Władysławowa O łódź jakąś proszę...

— Dobrze. Jutro z rana będzie czekać na ciebie, wedle Zielonego Mostu szalupa, na której udasz się do Latarni. A tam — zależy to już od decyzji komendanta — albo zaraz albo pojutrze lub za kilka dni, udasz się dalej. Przy szalupie czekać będzie człowiek z pismem rady, zalecającym dołożenie wszelkich starań komendantowi Latarni w Wisłoujściu, abyś przy zdrowiu, jak najrychlej do twierdzy Władysławowo dotarł. Reszta zależy od wiatru i stanu morza. O tej porze roku Bałtyk potrafi być groźny. Satisfakcjonuje cię to, panie oficerze, czy też raczej — panie komisarzu królewski?

— W zupełności...

W tym momencie świeca zaczęła nagle mrugać, wielkie cienie rozhuśtały się na ścianie, płomień zachybotał, zmalął i zgasł.

— Cóż, nie najlepsza to wróżba dla ciebie, panie komisarzu królewski — rozbrzmiał z mroku głos burmistrza. — Graviora manent, czyli najgorsze dopiero nastąpi...

- I pan burmistrz zaczął się niespodziewanie śmiać tak gwałtownie, że aż śmiech przeszedł w kaszel: Wtedy dopiero otworzyły się drzwi i do komnaty zajrzał pacholek, pytając, czy czegoś nie potrzeba.

3. NOC PEŁNA TAJEMNIC

Gdy komendant Janicz zszedł z obserwacyjnej wieży razem z Krystą, w koszarach było już ciemno. Żołnierze posnęli/Odprowadził córkę do schodów, wiodących" do komnat, ale gdy dotknęła poręczy, położył jej jeszcze rękę na dłoni i kazał dalej iść samej.

— A ty, ojcze?

— Rozejrzę się. Jakiś niepokój mnie dziś gnębi — ciebie, o fortecę, o wszystko dookoła. Nie wiem, co mi jest. Sprawdzę jeszcze posterunki. A ty idź spać, Krysta. Zobaczymy się rano.

— Dobrze, ojcze.

— Dobranoc, Krysta.

— Dobranoc.

Słyszał skrzyp schodów, potem pisk zawiasów trzask drzwi. Dojrzał w okienku blask krzesanego ognia i zapalanej świecy. Westchnął i powtórzył jej słowa — „dobrze, ojcze”. „Jestem dla niej rzeczywiście ojcem — pomyślał — czy tak tylko mówi, aby nie psuć tego, co jest między nami, nie robić mi przykrości albo z prostego przyzwyczajenia?” Kochał ją. Nie wyobrażał sobie świata bez niej. Liczył na to, że dawna przeszłość zatrze się w pamięci ludzi, zaginie, nie wróci. A jednak pamiętali o tym. Wszyscy. Odgrodził ją od świata, ostrzegał wszystkich, z kim się stykała, aby nie mówili jej o tamtym dniu, gdy znaleziono ją w kołysce na brzegu morza, jak małego Mojżesza. A jednak znalazły się czyjeś nikkzemne języki, które obudziły w jej sercu niepokój. Znajdą jest — tak będą mówić. Nikt nie wie, kim byli jej rodzice — może jest czarownicą? Tak też mogą powiedzieć.

Dzięki niej zatarł mu się w sercu ból po utraconych najbliższych. Szwedom zemstę poprzysiągł, ale po znalezieniu dziecka na wybrzeżu — zemsty zaniechał, A może trzeba było się mścić i tym zagłuszyć ból? A oto — ma w domu dziecko — może rybackie, tutejsze, z Kaszub, ale może szwedzkie? Kto wie, czy nie z rąk lub z rozkazu jej ojca mogli zginąć jego najbliżsi?...

Według tego, czego dowiedział się, z Pucka wyszedł wówczas rzeczywiście ostatni statek ewakuacyjny, któremu nie było dane przemknąć między polskimi strażami jak poprzednim dwóm. Nazywał się „Rudy Lis”. Po szwedzku — „Rod Rav”. Na pilota wzięli jednego z miejscowych szyprów — Długiego Muzę. Nie chciał ich prowadzić przez Wik, bo znane mu było, że prócz garstki ludzi, których przewozi, są tam jeszcze w ładowniach skarby zrabowane w kaszubskich kościołach. Nie chciał, ale musiał, bo zagrożono mu, że jeżeli nie zgodzi się, śmierć zgarnie cały ród puckich Muzo w, a ich sadyba obrócona zostanie w ruinę. Muza popłynął więc, ale wprowadził szwedzki żaglowiec na mielizny Mewiej Rafy. Z tonącego statku, rozbijanego przez fale, uratowało się sporo ludzi, ale wychodzących z wody szwedzkich żołnierzy zatłukli pałkami rybacy¹ pod Kuźnicą i Jastarnią Pucką. Jacyś uratowani mieszczenie trafili do Jastarni Gdańskiej, inna szalupa z rozbitkami wylądowała koło Mechelinek.

Ale mimo że tyłu się uratowało, jakoś Janicz nie spotkał nikogo i nikt nie udzielił mu odpowiedzi na pytanie, kto był ojcem Krysty. A może nie był to Szwed, ale ktoś z mieszczań puckich, trzymających ze Szwedami? Byli tam przecież tacy i słusznie lękali się kary, jaka mogła ich spotkać po kapitulacji grodu.

Najlepszej informacji udzieliłby mu Muza, ale Muzy nie było wśród uratowanych. Podobno gdy wprowadził żaglowiec na mieliznę, oficer szwedzki przebił go papierem.

Jak mogli Szwedzi dać się tak wywieść w pole? Ano mogli. Istniał przecież w pobliżu brzegu jakiś farwater wśród mielizn, który budowniczo wie fortyfikacji na półwyspie kazali pogłębić. Wspomniał o tym niedawno Zaręba. Ale piasek zasypał nie

tylko sztucznie pogłębiony kanał, lecz i naturalne przejście. Muza musiał wówczas o tym wiedzieć...

Po co' jednak wracać do tamtych czasów?

Będzie jak Bóg da — nie objawił się przecież ojciec Krysty. Gorzej tylko z ludzimi językami.

— Jegomość komendant?

— Jam jest. Nie śpisz jeszcze Zaręba?

— Coś mi dziś nie do spania. Prześladowuje mnie strach, wasza wielmożność, że ktoś chce mi gardło w nocy podciąć. Wiem, że to głupota, ale spać nie mogę.

— Głupota, a może i nie głupota. Panienska Swarzewska pludrów szwedzkich nie lubi, może więc ostrzeżenie nam jakieś śle.

— Waszmość pan, komendancie, także nie śpisz. Córkę znalazłeś?

— Znalazłem i do łóżka pogałem, bo na takie panny pora spać. A sam jeszcze na bastiony wyszedłem.

— Żołnierzy mało na zmianę, ludzie więc zmęczeni. Mogą zasnąć. A gdyby zasnęli... Taka noc jak dziś w sam raz na podejście nas. Ciemno, morze spokojne, a po sztilu lekka bryza, która potrafi nawet galeon bezpiecznie pod sam brzeg doprowadzić. Chodźmy waszmość komendancie na wały... Obejdziemy jeszcze raz i obejrzymy wszystko jak należy.

Janicz nie odpowiedział, tylko ruszył za chorążym po rozmokłym dziedzińcu fortecy. Był zadowolony, że tamten nie spał i że zaproponował mu ten obchód. Był pewny, że nic nie odkryją, ale przynajmniej taki spacer czarne myśli odpędzi.

W tym czasie Krysta zamierzała już kłaść się spać, ale w pustym domu strach jakiś ją brał i wołała jeszcze świeczki nie gasić. Rozczesała włosy, obejrzała jakąś robótkę,

której wyszywanie pomagało jej zabić puste godziny, pogłaskała kota skulonego w nogach łóżka.

Kim jestem? — myślała. — Kim była moja matka, mój ojciec, gdzie stał mój dom? Naprawdę lepiej mi było żyć bez tych pytań, ale teraz już ich nie odpędzę. W takie noce jak dziś będą wracać jeszcze natrętniej. Kto mnie przed nimi obroni? A może samej zacząć szukać, pytać, dowiadywać się? Ale czy godzi się to robić wobec dobroci, jaką okazał mi komendant Janicz — choćby przez tę dobroć godny nazwania ojcem?

— Nie lękaj się waćpanno, przyjaciel do ciebie mówi... — rozległ się nagle szept za jej plecami.

Aż podskoczyła z przerażenia, poczuła ścisnięcie krtani, zabrakło jej tchu. Szept był męski, z obcym akcentem, przymilny, ale przecież straszny.

— Kto... kto... — jęknęła. — Kto tutaj?

— Cichaj waćpanno, bo jak twój głos ktoś usłyszy, przylecą tu zaraz i przyjdzie mi u twoich stóp gardło dać. A szkoda by było, bo dobrą wiadomość ci głoszę.

— Kim jesteś, panie?...

Teraz go zobaczyła — czarny płaszcz i blade oblicze — ledwie widoczne spod opuszczonego ronda kapelusza. Stał na progu, ale postąpił teraz ku niej bliżej. Zatrzymał się jednak przy stole, dalej nie dając już kroku. 'I

— Od prawdziwego ojca waćpanny posłuję. Nazywam się Amadeusz Storch, z Królewca rodem. Poddany elektora brandenburskiego, ale mowę polską znam jak' rowowity Polak. Pozdrowienia przynoszę...

— Jezu...

— Szukałem waćpanny — cud, że mnie strażę nie wypatrzyły. Już tu raz jeden byłem — dom pusty...

— Ojciec na obchodzie.

— Komendant Janicz na obchodzie, natomiast prawy ojciec waćpanny nie tu. Daleko stąd...

— A żyw?

— Żyw i w zdrowiu.

Skłonił się i podał jej pierścień.

— Zachowaj mój sygnet waćpanno, będzie to tajny znak i człowiekowi, który go rozpozna, zaufaj. Do ojca cię bowiem zaprowadzi. Tyle już lat stara się twój prawy rodzic o to, aby ciebie odzyskać!

— Jak tu, panie, przyszedłeś? W każdej chwili może wejść ojciec... — zająknęła się nagle.

— Gdyby wszedł do domu komendant, kroki byśmy usłyszeli. Wtedy waćpanna wyjdiesz z nim do jego komnaty, powiesz, że sny straszne miałaś, a ja w tym czasie wyskoczę na dwór. A tam już nie straszno. Znam tę fortecę. I nie sam tu jestem. No, na mnie już czas. Spełniłem, com miał spełnić.

— Mówiono mi dziś w gospodzie... Po raz pierwszy usłyszałam...

— To z mojego rozkazania mówiono. Chciałem, aby waćpanna знаła tajemnicę, której w fortecy każdy jeden gemajn przytomny, jeno mówić im o tym z tobą zabroniono. Gdybym dziś to dopiero wyjawiał, byłby to za wielki wstrząs dla ciebie. A czasu i tak niewiele. Za dwa, trzy dni udasz się waćpanno do ojca.

— Kto moim ojcem?

— Człowiek zacny, szlachetny i wszędzie ceniony. Przekonasz się sama. A nade wszystko — kochający cię...

— A matka?

— Matka waćpanny zmarła przy połogu. Na pokładzie „Rudego Lisa” byłaś jeno z piastunką, ale niestety — pod wodę poszła, mimo że ciebie, pani, uratowała. Ale ojciec żyw i pozdrowienie ci przesyła.

— Polak on?

— Nie. Szwed. Ale matka waćpanny była stąd, z Pomorza, Polka. Tak więc połowa w tobie krwi polskiej, a połowa szwedzkiej, ale całaś córką swego ojca. Tego nie zapominaj! Żegnaj pani!...

Zdjął wreszcie kapelusz i skłonił się, ale tak nisko schylił głowę, że znów w blasku świecy niewiele zobaczyła jego oblicza.

Na dworze rozległo się czyjeś wołanie.

— Nie lękaj się o mnie, waćpanno. Nic mi się nie stanie...

Obrócił się, a poły jego płaszcza zgasiły płonące na stole świece. Już go nie było... Dziewczyna została w ciemności sama z tą dziwną wiadomością i tajemniczym sygnetem. Jak to powiedział? Za kilka już dni — do ojca. Do ojca?... Jakiego ojca? Czy znaczyło to, że miałyby stąd uciec, zostawić Janicza, twierdzę, ów najdalszy szaniec Rzeczypospolitej i zbiec do jej wrogów?

Tymczasem komendant Janicz i chorąży Zareba nie mogli odnaleźć na wałach żołnierza Góry. Natknęli się natomiast na ścierwo psa. Pies? Zdechły pies na wałach? Co za licho! Skrzęsali ognia i zapalili latarnię. Potem podeszli do padłego zwierzęcia, znajdując je rozplątane puginałem. Poświecili dalej, wołając po imieniu żołnierza, ale nie odezwał się. Miał kocie oczy, bystry był — przypomniał sobie komendant. Nie dałby się nikomu podejść. Nie dałby? Znaleźli go w fosie kanału na międzymorzu. Przypadek to był, że go znaleźli. Leżał na boku, cały we krwi. Wielekroć pchnięto go sztyletem, nim wyzionął ducha.

Komendant zrozumiał, że w fortecy są nieprzyjaciele. Wyrwał zza pasa pistolet i strzelił. Poszło echo strzału niedaleko, porwane powiewem bryzy. Ale w koszarach już zapaliło się światło, a równocześnie od bramy rozległ się okrzyk Alojza Paszkę — „Wer da? Bo zacznę pracć!” Potem jego przeraźliwy dyszkant — „Bywajcie tu sam! Bywajcie! Szwedy!”

Pojawiły się latarnie, pochodnie, zadźwięczała stal. Ale nie znaleziono nikogo. Ilu ludzi wdarło się do fortecy i po co — pozostało tajemnicą. Dokąd poszli? Alojz twierdził, że ktoś się koło niego prześlizgnął, nie odpowiadając na wołania.

— Gdyby to była dawna załoga, panie komendancie — zżymał się Zaręba — ani jeden z pludrów żywy by stąd nie wyszedł, ale ci tutaj...

Jego narzekania nie trafiły jednak do przekonania Janiczowi. Dwóch wartowników nie mogło w pełni zabezpieczyć tak rozległej fortecy, tym bardziej, że zmiana ich miała nastąpić dopiero nad ranem. Bez Góry zostało ich teraz wszystkich razem dwunastu. Dwunastu z jedną armatką...

Mimo nocy odnaleziono ślady czyichś butów i miejsce, gdzie cumowała łódź. Zwłoki wartownika zniesiono na dziedziniec i położono pod dachem wartowni. Wątpliwe było, że teraz ktokolwiek z załogi zmruży do rana powieki. Zmieniono postęunki i jeszcze raz spenetrowano wszystkie zakamarki.

Na horyzoncie niebo pojaśniało już, gdy Janicz przyszedł do domu. W pokoju Krysty było ciemno. Zajrzał jeszcze przez uchylone drzwi, aby przekonać się, czy dziewczyna śpi. Nie spała jednak. Usłyszał jej niespokojny szept,

— Ojczy, co się stało?...

— Nic takiego, Krysta. Nic takiego... Ktoś był w fortecy. Ktoś obcy. Ale nikogo już nie ma. Możesz spokojnie spać...

Wycofał się i zamknął drzwi. W swojej komnacie rzucił się w ubraniu na łóżko i — może w efekcie tylu przeżyć tej nocy — zasnął prawie natychmiast ciężkim snem bez zwidów i marzeń.

4. WISŁOUJŚCIE

Rankiem, jak było umówione, przy Zielonym Moście na Motławie, oczekiwała na królewskiego komisarza łódź. Była to duża szalupa, jaką posługiwali się zazwyczaj strażnicy wodni, odpowiedzialni za cały ruch statków wewnątrz portu, za pełne bezpieczeństwo na kanale portowym i stosowanie się szyprów do regulaminu. Władza strażników wodnych kończyła się w miejscu, gdzie wody Wisły łączyły się z morzem — dalej bowiem rozpoczynało się władztwo tak zwanych „dozorców redy”, którzy dbali o oznakowanie kanałów między mieliznami, o zabezpieczenie kotwicowisk i pilnowali ruchu statków poza portem. Szalupy strażników wodnych służyły często do holowania statków wzdłuż kanału portowego — od ujścia Wisły, aż do motławskich nabrzeży. Oczywiście — obsada przy wiosłach była wówczas liczniejsza niż obecnie, gdy Stuwe i zaporoski oficer zstąpili do łodzi — na cztery ławy wioślarskie, zajęta była tylko jedna. Sternik — nie wiedzieć, czy specjalnie na cześć gościa, czy też tak było we zwyczaju — przybrał barwny mundur i kapelusz z piórem, wcale nie gorszym od tych, którymi przystrajali swoje nakrycia głów szyprów wielkich galeonów. Na rufie szalupy łopotała flaga gdańska z dwoma białymi krzyżami w czerwonym polu, przystrojonymi złotą koroną królów polskich. To już świadczyło na pewno o pełnej gali, bo zbyt kosztowne stanowiła signum władzy, aby się nią na co dzień posługiwać.

Komisarz Bernard Stuwe zajął miejsce na dziobowej ławie, ale potem przeniósł się ku rufie, aby móc swobodniej pogawędzić ze sternikiem. Swoje pierwotne miejsce odstąpił Kozakowi Symeonowi, synowi słynnego ponoć na Dnieprze zagończyka Mikołaja, zwanego od swego patrona Mikołajem Cudotwórcą. Ten przydomek miał przylgnąć do niego od czasu, gdy udało mu się flotyllę czajek, wiozących bogate łupy, przeprowadzić szczęśliwie pod samym nosem tureckich galer, blokujących ujście rzeki. Symeon w swoich stronach, na Ukrainie nazywany po prostu Semenem — był znacznie młodszy od Bernarda i wyróżniał się strojem, który nawet w Gdańsku, gdzie

oglądano ubiory całej Północy i Południa — budził zainteresowanie. Zwraçały uwagę na ulicach Gdańska jego hajdawery — krojone na sposób turecki, a także miękkie, palone buty, krzywa szabla oraz... podgolona głowa z typowym czubem. Szlachta podolska lub wołyńska, która tu na statkach przybywała wprost z Jarosławia nad Sanem, też budziła zainteresowanie egzotyką stroju, ale przecieź nie nosiła nigdy podobnych hajdawerów. Trudno byłoby określić funkcję, jaką Symeon spełniał wobec komisarza. Oficjalnie był jego towarzyszem, ale to jego towarzystwo zostało "zaakceptowane przez samego hetmana chyba nie bez wejrzenia na fakt, że od czasu pobytu Kozaków pułkownika Wołka na Pomorzu, budzili ①ni respekt, a może lęk... Symeon był kozackim oficerem i ponoć szanowanego klejnotu, ale kozackie klejnoty, jak i ranga inną wartość miały nad Dnie-" prem i Bohem, a inną u ujścia Wisły.

Gdy odbijali, nad Motławą stała lekka mgielka i Stuwę mógł sobie wyobrazić, jaki to mleczny całun kryje dziś całą Zatokę. Mijali wolno zwieszony nad nabrzeżem łeb wielkiego żurawia, słynnego w całej Europie dźwigu, potem wjechali w stoczniową gardziel koło Brabanka, ominęli bramę portu i około Polskiego Haka dali się ponieść głównemu nurtowi Wisły.

Wszędzie panował ogromny ruch. Naprzeciw Polskiego Haka widzieli nawet wielki prom pełen ludzi zdążających do miasta. Mijali statki cumujące u brzegów lub ciągnięte na holu przez szalupy. Nie był to jeszcze sezon żeglugi, dopiero wczesna wiosna, a port kipiał już życiem. Można było wyobrazić sobie sytuację na tej wodnej drodze w pełni lata.

Zwraçały także uwagę prowadzone dookoła prace fortyfikacyjne w holenderskim stylu. Na lewo opłynęli Szaniec Wapienny, a na prawo trzy kolejne reduty — choć jeszcze bez armat — Szaniec Panieński, Szaniec Przedni i Szaniec Rycerski. Widać — niebezpieczeństwo szwedzkie na północy Rzeczypospolitej poważniej traktowano niż w Warszawie. Ziemia pocięta była tu kanałami jak w Niderlandach, słabo zadrzewiona i rzadko zamieszkała.

Dwukrotnie próbował Stu we nawiązać rozmowę ze sternikiem, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Musiał ktoś tamtemu przykazać, aby nie wdawał się w niepotrzebne rozmowy z wysłannikiem królewskim, ale aby równocześnie okazał gościowi tyleż dumy, co szacunku. Prawdopodobnie „dumę dozorczy wodnego” pojął tamten jako milczenie. Pod sam koniec drogi dopiero, gdy już z mgieł wyłoniła się wieża twierdzy w Wisłoujściu, nazywanej Latarnią, sternikowi jakby język rozwiązano. Wskazał wznoszony lub może naprawiany Szaniec Mlecznej Karczmy, Szaniec Klezzy, a wreszcie i samą twierdzę, położoną już u wylotu rzeki do Bałtyku i jął, nie pytany, opowiadać.

— Forteca jest dziś dwakroć tak potężna jak za dawnych czasów — mówił. — Ma dwie linie umocnień ziemnych, a w samym centrum jeszcze grube mury, okalające dziedziniec i obronną wieżę. Wewnętrzny system obrony ma cztery baterie, które zwa — Bastionem Artyleryjskim, Ostrorogiem, Bastionem Południowo-Wschodnim i Furtą Wodną. Zewnętrzny system liczy ich pięć. Licząc od Wisły, znajdują się tam — Bastion Pucki i Bastion Wiślany, a od łądu — Ostroróg Drugi, Świński Łeb i Bielnik... Nikt tej twierdzy nie zdobędzie...

Stu we kiwał głową, jakby z wdzięcznością za tak fachowe objaśnienia, rozumiejąc, że do eskorty dano mu chyba tym razem nie jakiegoś tam zwykłego dozorcę, ale starszego nad całą strażą wodną, polecając mu udzielić tak wyczerpujących informacji. Twierdza znajdowała się w rękach miasta, a królewska była ona na tyle, na ile interesy Rzeczypospolitej zbiegały się z interesami kupców. O to chodziło zapewne burmistrzowi i rajcom, gdy dawali takiego pilota i cicerone w tym wiślanym rejsie..

Pod nieobecność komendanta twierdzy, funkcję tę — jak się okazało — sprawował szef garnizonu Latarni, mężczyzna niewiele co starszy od komisarza królewskiego. Nazywał się van Zaandam. Kapitan Jakob van Zaandam.

Ów szef garnizonu był wielce rad widzieć w gościnie u siebie kogoś, z kim mógł wieść rozmowę jak z rodakiem, choć na brak okazji do porozmawiania po holendersku

nie mógł narzekać. Często gościli w Latarni kapitanowie kupieckich statków z Niderlandów, port fortyfikowali także Holendrzy, którzy już od dawna trudzili się wznoszeniem najpiękniejszych budowli w samym Gdańsku. Od pierwszych chwil komisarz królewski odczuł, że może oczekiwać w Wisłoujściu autentycznej pomocy i rady — Jakob van Zaandam nie był bowiem do niego nieprzychylnie nastawiony, nawet jeżeli miał takie polecenia.

— Mój panie, nie wyślę cię dziś do Władysławowa, choć sam burmistrz mnie o to prosi w swoim liście — powiedział po powitaniu. — Na wiosłach płynąć tam za daleko, a wiatr przyjdzie nie prędzej jak dopiero dziś wieczór. Zresztą — pogoda tu kapryśna. Nawet przy najpiękniejszym niebie nie można jej całkowicie dowierzać. Było nie było — to na tym morzu rodzą się przecież słynne „białe szkwały”, które już niejednego żaglowiec posłały na dno. Z konieczności więc przenocujesz, panie, w twierdzy, zjesz ze mną obiad, pobiesiadujesz — jeżeli taka będzie twoja ochota, a jutro ruszysz dalej. Jutro rano spodziewamy się wiatru, który do Władysławowa cię zaprowadzi. Może dopiero jutro pod wieczór ta pogoda ściągnie sztorm — tyle, że będziesz już wtedy w bezpiecznym porcie. A teraz — rozgość się jak u siebie w domu. Dostaniesz komnatę kapitańską do dyspozycji, a twój pachołek...

— Nie pachołek to, ale wolny Kozak, oficer zaporoski, przydany mi do kompanii. Na żeglarstwie się zna i szablą robić potrafi... — pospieszył z wyjaśnieniem Stuwe.

— Druga komnata więc i dla niego się znajdzie. Miejsca tu jest sporo.

Dowódca garnizonu twierdzy w Wisłoujściu odgadł znakomicie najbliższe grymasy pogody. Lekkie powiewy wiatru, które rozwinęły proporce i flagi na okrętach, gdy Stuwe przybył do Latarni, zgasły koło obiadu zupełnie i nawet mgła zgęstniała tak, że z bastionów nie można było ujrzeć przeciwległego brzegu Wisły. W tych warunkach ruch u wjazdu do portu zamarł całkowicie. Pogoda nie była wciąż ustabilizowana — typowe kaprysy nadmorskiej wiosny — jutro mogło wyjść słońce, a pojutrze dmuchnąć strasznym białym szkwałem, podczas którego „wody morza łączą się z wodami

nieba". Trzeba było więc korzystać z chwili spokoju, która umożliwiała pogawędkę. Van Zaandam postanowił pobiesiadować z komisarzem królewskim, nie czekając wieczerzy.

— Napisano mi o waszmości, że przybywasz jako wysłannik kanclerza wielkiego koronnego dla zbadania tajemnicy statku „Andromeda”. Od kiedy to kanclerz zajmuje się takimi sprawami?

— Przypuszczam, że ostatnio zbyt wiele kłopotów nastęcza wybrzeże Bałtyku. Sprawą tą interesuje się także bezpośrednio hetman wielki koronny, który na moim dokumencie sygnet swój odcisnął, a i król jegomość jest nią zatroskany.

— Rzeczywiście, przypadek to nie pierwszy, kiedy wraki grabione są na sztrądzie w dziwnych okolicznościach. I przypadek to nie pierwszy, że zachodzi podejrzenie piractwa.

— Co pan przez to rozumiesz mości kapitanie?

— Proste sztuczki stosowane na całym wybrzeżu Europy. Rozpala się ogień nasładowy pobliską latarnię morską, a przecież najbliższa latarnia morska to Hel, sam cypel półwyspu. Od dziewięciu lat jest ona utrzymywana z gdańskiej kiesy, ale tak naprawdę to opłacają koszty jej użytkowania szyprowie statków, które przyplływają do Gdańska. Można także stosować inne sztuczki. Jeżeli uwiązać latarnię między rogami wołu i gnać go wzdłuż brzegu, to niejeden szyper pomyśli, że ma przed sobą światło pozycyjne statku, który opływa właśnie helską mierzeję i popłynie w ślad za wołem, myśląc, że znalazł bezpieczny farwater.

— Sugerujesz pan, że tak się stało z „Andromedą”?

— Tak mogło się stać. Nikt przy tym nie był. Nikogo z załogi nie znaleziono. Dawniej ktoś tam ocalał, morze wyrzuciło ciała. Teraz — nikogo. Znaleziono pusty, zdruzgotany statek na plaży, którą tutejsi nazywają sztrądem...

— Podejrzewają o to ludzi z fortecy Władysławowo...

— Nie kochają tej fortecy gdańscy kupcy, tak jak nie kochali królewskich okrętów Rzeczypospolitej. To jasne — chcieliby sami być pośrednikami między Polską a wielkim światem.

— Ale gdy Duńczycy lub Szwedzi za wiele sobie pozwalają, to wówczas do króla jegomości w lament uderzają.

— Jedyne to ich puklerz przed wrogiem — wszyscy o tym wiemy, ale dusza u nich kupiecka, więc o przywileje handlowe zabiegają, nawet jeśli kolidują one z bezpieczeństwem wybrzeży.

— Polska ich matką, ale handel ojcem — tak mi powiedział sam burmistrz.

— Bo i prawda. Istnieją dzięki całej Polsce, bogacą się dzięki Polsce, bez Polski by już dawno zginęli, ale pieniądź jest dla nich wyrocznią godności, pozycji i honoru...

— Ceł morskich zbierać królowi nie pozwolili.

— Może pozwoliliby, gdyby król jegomość inaczej te sprawy załatwił. Pozwól waszmość, że spytam o coś, co mi umysł od dawna już zaprzęta — jakiej waść nacji?

— Dziś już na pewno polskiej.

— A jutro?

— Także polskiej. Tak postanowiłem. Ród mój znalazł tu nową ojczyznę — będę jej wierny.

— Honorują waćpana — widzę, mianując królewskim komisarzem.

— Ano honorują. Więcej tu takich. W Gdańsku aż roi się od Holendrów i Fryzów, a część z nich kraj ten obrała za swoją ojczyznę. Zostaną tutaj.

— Tak, wszędzie takich jak my pełno. Mam tu wielu zacnych mieszczan z Niderlandów za przyjaciół. Nawet domy w Gdańsku przypominają mi moje strony. A gdybyś waszmość zawędrował na bagna nadwiślańskie, obaczysz tam wiatraki holenderskie, które wodę pompują. Prawie krajobraz ojczysty. Ja tu także pozostanę — -już to postanowiłem. Nawet pannę mam upatrzoną.

— W Gdańsku?

— Pod Gdańskiem, w Oliwie — ale nie papistka, jeno z dobrego ariańskiego domu,

— Jak sam pan Arciszewski?

— Właśnie — jak sam pan Arciszewski, którego dobra rodzinne także pod Gdańskiem leżą, choć dziś już w innych rękach. Smakuje waszmości wino?

— Smakuje, choć wolę bardziej cienie. Więcej tego wypić, to i naszej rozmowy nie moglibyśmy dokończyć. Podobne do przedniego hungaricum...

— To hiszpańskie. Z Andaluzji. Tam również lubują się w podobnych trunkach, co południowi sąsiedzi Polski.

Podnieśli szklanice i łyknęli jeszcze trochę aromatycznego napoju, po czym Stuwe skierował rozmowę na swoją misję, pragnąc zdobyć nieco więcej informacji na ten temat, od chętnego do plotek oficera.

— Waszmość tutejszy, obyty, zadowolony, możesz mi więc coś doradzić...

— Pytaj — co cię niepokoi. Jeśli wiem cokolwiek, zaspokoję twoją ciekawość.

— Niepokoi mnie, co też zastanę we Władysławowie.

— I słusznie niepokoi. Z kilkudziesięciu ludzi zostało tam trzynastu — łącznie z komendantem Janiczem. A kto wie, może ich już nawet tylu nie ma? Brakuje pieniędzy na żołd, a trzymają załogę obietnice imć pana Weyhera, bądź trzyma ich kredyt w

miejscowej karczmie, którą także pan Weyher pobudował na przekór miejscowemu staroście. A tymczasem prądy morskie zamulają port tamtejszy piaskiem. Wyjścia na Wielkie Morze Władysławowo już nie ma.

— A było?

— Planowano je \y miejscu, gdzie sztormy przerwały półwysep, ale należało kanał pogłębić i stale w gotowości trzymać. Teraz tam nikt nie kopie. Stoczniove warsztaty stoją puste — a przecież właśnie tam przebudowywano okręty królewskie i siła ludzi przy tym pracowała. Kilka checzy rybackich stanęło ostatnio koło karczmy. Sami Budzisz, choć Budzisz nie jest arendarzem gospody. Pustkowie, wiatr wieje i widma straszą.

— A jaki ten komendant Janicz?

— Mówią, że on jeden coś tam wart. Jeżeli wszyscy go odbieżą, on sam zostanie i co rano chorągiew królewską będzie wciągał na maszt, a w razie szwedzkiego desantu — polegnie. Cóż z tego jednak — rozejm w Sztumskiej Wsi doprowadził do ruiny wszystkie królewskie zamierzenia morskie, wojenne okręty na handlowe przerobiono, a działa z Władysławowa do puckiego arsenału powędrowały.

— A Szwedzi?

— Pozornie — honorują rozejm, ale coraz częściej widać żagle ich okrętów na horyzoncie. Co tu robią? Może do Piławy chodzą? Nie wiem. Faktem jest, że ich częściej teraz widzujemy.

— Do wojny się sposobią?

— Może. Gdańsk w każdym razie na taką ewentualność przygotowany. Nie zdo-
będą go.

— A Puck?

— Tego nie wiem. Mogą jednak dość łatwo opanować półwysep Hel, a mając Hel w łapach, wypadły ku nam czynić. Ale to tylko moje rozmyślenia. Jest rozejm i obydwie strony czerpią z tego korzyści. Nie moja rzecz wnioski z sytuacji wyciągać, ale sytuacja tych na półwyspie — nie do pozazdroszczenia.

— Mówisz waść o załodze fortecy Władysławowo?...

— Jeszcze mniej ludzi jest w drugiej fortecy, w Kazimierzowie koło Kuźnicy. Tam chyba już tylko kilku żołnierzy siedzi. Żołnierz to jednak niezdyscyplinowany, przysparzający okolicznym wsiom wiele kłopotów.

— Zdaniem burmistrza i rady miejskiej, prawdopodobne jest, że żołnierze ci wprowadzili na mieliznę „Andromedę”, wrak ograbili, a załogę wymordowali i ciała ukryli. Możliwe to?

— Młodzi i dzielni żołnierze poszli z Władysławowa i Kazimierzowa w świat, zaciągnęli się na statki. Ci, co zostali tam, nie mieli widocznie dokąd pójść, nie pachniała im ciężka praca i wojaczka. A właśnie ci nie otrzymują dziś żołdu, Czy możliwe, aby wrak ograbili? Nie wydaje mi się to możliwe, zwłaszcza gdy biorę pod uwagę samą osobę komendanta. Znam go, choć tylko przelotnie. Wydaje mi się, że to człowiek honoru. Gdyby wiedział o kimś z podwładnych, że brał udział w takim czynie, zabiłby go własnymi rękami.

— A gdyby wzięli udział wszyscy?

Holender chwilę milczał.

— Trudne pytanie waszmość zadajesz i jeszcze trudniejsza odpowiedź. Gdyby wzięli udział wszyscy z załogi? Hm... Czy otrzymałeś pan jakieś instrukcje — jak masz w tej sprawie postępować? Czy wyrażono ci jakieś sugestie, wysunięto podejrzenia?

— Nie, kazano mi odkryć prawdę, ale nie mam do niej żadnego klucza. Dlatego wstąpiłem do Gdańska, a dopiero stąd jadę do Władysławowa, zanim jeszcze obejrzę wrak „Andromedy”. Podobno w tamtych okolicach, na Rozewiu, także palono kiedyś ognie sygnalne.

— Tak, ale to dawne czasy, jeszcze w okresie Hanzy. Najbliższa bliza — na Helu. A co do komendanta Janicza, to warto wiedzieć, że nie mieszka w fortecy sam, ale z córką.

— Z córką?

— Różnie o tej córce mówią. Ma to być znajda wojenna. Według plotek — jako małą dziecinę znaleziono ją w kolebce, którą fala morska wyrzuciła na brzeg. Rzeczywistą córkę pana Janicza ubili Szwedzi, więc też znajdę przyjął jak swoje dziecko, upatrując w tym sprawiedliwość niebios. Ale ludzie różnie o tym gadali.

— Co mianowicie?

— Że mała jest córką jednego ze szwedzkich oficerów obłożonych wówczas w Pucku, kiedy hetman Koniecpolski miasto oblegał. Komendanta lub kogoś znacznie szerszego. Ostatnimi okrętami szwedzkimi, jakie ewakuowały z Pucka wojenny dobytek Szwedów, zanim jeszcze uderzyły na miasto polskie wojska, były orlogi „Pelikanen” i „Leoparden”. Ale w jakiś czas później miał wyjść jeszcze jeden, ostatni, mały okręcik o nazwie „Rod Rav” co znaczy „Rudy Lis”. Niestety — kapitan tego stateczku nie miał chytrłości lisiej i rozbił się na Mewiej Rafie. Na dno poszły wtedy różne drogocenności, zrabowane przez rajtarię szwedzką w okolicznych kościołach.

— Iz tego rozbitego statku miała pochodzić owa znajda, którą pan komendant Janicz uznał za własną córkę?

— Tak mówią. A prawdy nie zna nikt — może jeden Janicz, ale on tego nikomu nie powie. Chyba nawet ta jego córka-znajda nic o tym nie wie. Gadają jeszcze... Ech, ale to już babskie bajanie...

— Mówże waść wszystko, może w tym jest coś prawdy...

— Ano dobrze. Mówią, że na Mewiej Rafie straszy od tamtej pory. Zjawia się tam widmo zatopionego okrętu. Coś jednak w tym jest, bo w niektóre noce światło na Mewiej Rafie widziano... Pojedzie pan, zobaczy, pogada, może i tę tajemnicę wyjaśni — zakończył rozmowę Jakob van Zaandam. Wzywały go obowiązki na mury twierdzy, życzył więc oficerowi królewskiemu odpoczynku i obiecywał następnego dnia przygotować sprawną łódź wodnych strażników, która już pod żaglem miała Stuwega wraz z Kozakiem zawieźć na półwysep.

5. FORTECA

Mimo że Jakob van Zaandam zdradzał szczerą chęć wtórnego pobiesiadowania komisarzem królewskim, jakieś ważne ponoć zajęcia uniemożliwiły zrealizowanie zamiaru i Bernard Stuwe wieczerzał jedynie w towarzystwie Kozaka Symeona. Potem rozstali się i Stuwe udał się do komnaty przydzielonej mu w twierdzy na tę jedną noc. Okna wszystkich budynków mieszczących się wewnątrz fortyfikacji, wychodziły na dziedziniec, nie był to więc widok ciekawy, a nawet przygnębiający, pragnąc więc przed spaniem rzucić jeszcze spojrzenie na Wisłę i morze, Stuwe wyszedł na mury.

Mimo późnej pory ruch panował znaczny, bo mgła wreszcie ustąpiła. Wszędzie kręciły się łodzie, migając światłem latarń. Właśnie wprowadzono z redy dużą karakę o oznakowaniu gdańskim. Ciągnęły ją dwie szalupy wiosłowe, a drogę wskazywała łódź pilota z czerwoną latarnią na rufie.

— Wasza miłość...

To zagadał do niego jakiś człowiek w kurtę żołnierską odziany, chyba z załogi Wisłoujścia.

— Tak, słucham...

— Jestem z garnizonu Latarni. Imię moje nieważne. Dawniej jednak stałem we Władysławowie, u pana kapitana Janicza. Wasza miłość jedzie jutro na Hel, do Władysławowa, słyszałem.

— Dobrze słyszałeś.

— Różne tu się rzeczy słyszy, wasza miłość, ale wiele złych o Władysławowie.

— Chcesz mnie ostrzec?

— Jeszcze teraz nic waszmości nie grozi, chyba że werdykt twój będzie na korzyść Janicza. Im jednak grozi wiele niebezpieczeństw.

— Chcą może Szwedzi napaść na fortecę królewską? Tak słyszałeś?

— Mogliby napaść, bo tam nie najlepsi żołnierze stoją i mało ich. Chyba pan kapitan Janicz i chorąży Zaręba jeszcze się liczą, ale na tak wielką twierdzę, to mało. Mogliby ich napaść i pozabijać, ale wówczas krzyk podniósłby się na całą Rzeczpospolitą. Lepiej — oczernić, zniszczyć ich dusze, zepsować serce.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Słyszałem, jak mówiono o waszmości, żeś praw i prawdy jeno szukasz.

— Gdzie to słyszałeś?

— Nie pytaj waszmość o to, nie mógłbym zdradzić.

— Podśluchiwałeś?

— Podśluchiwałem. Wieczorem sam główny komendant wrócił do Latarni.

— Komendant wrócił i nie chce się ze mną zobaczyć?

— Chyba nie zobaczy się już, a świtem wasza mość morzem płyniesz — tyle wiem. Masz dobrego szypra, pomów z nim, może i on ci coś powie o tych sprawach. Zastępcy komendanta — panu van Zaandam — zabroniono więcej z waszmością rozmawiać. Siła tu tajemnic. Błędne ognie widzimy w stronie Małego Morza, żagle szwedzkie Latarnię opływają, statki giną.

— Jadę w sprawie „Andromedy”.

— To wiem, wszyscy w Latarni już o tym wiedzą. Ale jedziesz z Kozakiem. Od czasu gdy przybyli tu Kozacy pod Konstantym Wołkiem i na Zalewie dwa statki

szwedzkie zajęli, mają tu mir dla Zaporozców. Mir, ale i strach. Wie wasza miłość czego się boją? Żeby Kozak waszeci nie był jakimś morskim oficerem z Czarnomorza, który rozejrzeć się ma we Władysławowie — czy stancy kozackiej tam nie założyć. Niby więc misja waszmości dotyczy „Andromedy”, a w gruncie rzeczy chodzi o osadzenie Kozaków na półwyspie — tak mówią. Panika stąd wśród rajców. O Kozakach i ich wyprawach morskich na Stambuł i Kaffę wiele słyszeli. Boją się.

— Co im takie myśli nasunęło?

— Gdy waszmość wyjaśnił, że Kozak ów to nie żaden służący, ale ktoś znaczny...

Uśmiechnął się...

— Ha, na każde słowo trzeba tu uwagę zwracać. Masz mi coś jeszcze do zakomunikowania?

— Tak jest, wasza miłość. Podobno na gdańskim Helu Szwedzi cumowali.

— Szwedzi? Jacy Szwedzi?

— Tego nie wiem, wasza miłość. Po prostu Szwedzi. A gdański Hel sięga od miasta Hel aż do Jastarni. Dalej już fortalicje królewskie. Może coś kombinują?

— Gdańszczanie razem ze Szwedami?

— Gdy interes ich do tego zwiedzie — kto to wie?

— Nam przykazano, aby baczenie mieć na Szwedów i przeciwko nim całe fortalicje wokół Gdańska się buduje. Ostoja nasza w Rzeczypospolitej — to jasne, ale są małe, kupieckie sprawy, które podobnie oceniają Szwedzi i gdańscy rajcowie.

— Jakie to sprawy?

— Fortalicje królewskie na półwyspie. Gdańszczanie boją się, że jak długo fortalicje te będą trwać choć z jednym członkiem załogi, tak długo oznaczać one będą sygnum powrotu króla do polityki ceł morskich. A polityka ceł morskich godzi w kiesy

gdańszczan. Szwedom te fortyfikacje także solą w oku. A otwartą walką ich nie zmo-
gą, jeno podstępem, bo rozejm obowiązuje. Wybaczy wasza miłość, że sam podsze-
dłem, nie wezwany, ale okazji do przekazania tych wiadomości już nie będzie więcej,
a woląłem powiedzieć wszystko, co wiem o całej sprawie. Jeżeli zaś chodzi o „Andro-
medę”...

— Właśnie, jeżeli chodzi o „Andromedę”... — podchwycił komisarz królewski.

Nie dane im było jednak rozmowy dokończyć i nie dowiedział się Stuwę, co mógł
jeszcze usłyszeć od owego żołnierza z załogi Wisłoujścia o tajemniczy rozbitego okrę-
tu, bo oto nagle rozległy się na murach kroki wieczornego rontu i padły wzajemnie
podawane hasła i odzewy. Był to znak, aby wszyscy postronni opuścili mury i wały.
Tajemniczy informator odwrócił się i pospiesznie uszedł bez słowa pożegnania, a
Stuwę — rad nierad — także musiał skierować kroki na kwaterę.

Gdy po jakimś czasie, już w swojej kwaterze zamierzał rozebrać się i pójść do łóż-
ka, usłyszał spoza ściany czyjś śpiew. Wsłuchał się w słowa i dopiero po chwili zo-
rientował się, że to Symeon śpiewał starą, smutną dumkę o tatarskich zagonach na
Ukrainie.

„... Za riczkoju wohni hor jat

Tam Tatary połon dijat

Sieło nasze zapałyły

I bahactwo rozhribyły

Staru nieńku zarubały

A mileńku w połon wzały...”

— Hej, Symeonie, nie śpisz? — zawołał przez ścianę.

— Ano, nie śpię.

— Przyjść pogwarzyć pozwolisz?

— Prosim waszmość...

Poszedł więc do Kozaka. Symeon leżał już w łóżku, ale świeca paliła się, widać nie do snu mu jeszcze było.

— Jak tutejszą pars naszej Rzeczypospolitej widzisz, Symeonie? — zapytał, siadając w nogach łóżka.. — Co ci serce dyktuje?

— Bogaty kraj, wasza miłość. Oj, bogaty! Widać — Tatarzy i Turcy nie sięgają tu swoimi pochodami.

— Nie tylko Tatarzy i Turcy łasi są na bogactwa. Pomorze ma wcale nie mniej chciwych sąsiadów.

— Miasta tu piękne, ludzie dostojni... — mówił dalej Kozak, przymykając oczy.

— Chciałbyś tu żyć?

— Żyć? O nie, panie! Dobrze to wszystko obejrzeć, ale potem wrócić do siebie, w stepy.

— Słyszałeś, że Kozacy pułkownika Wołka przestraszyli Szwedów pod Piławą, dwa ich okręty zajmując?

— Słyszał ja o tym, słyszał.

— No, a gdyby tak pułk kozacki na wybrzeżu osadzić, dać mu czajki, zezwolić na przywiezienie kobiet...

Kozak się zaśmiał.

— Ech, panie Stuwe, to tak jakby psu kazać łowić myszy, a kotu pilnować domu. Kozak wolny człowiek, nie pójdzie za pieniądze wojować w obce kraje — jak czynią to dziś Niemcy. Wolny człowiek kocha swoją ziemię, swój Dniepr, swoje stepy, swoje

siola z cerkiewkami — mniejszymi od tutejszych kościołów, ale za to naszymi, kozackimi. Nie, nie byłoby to dobre i na zdrowie by nie wyszło — ani Kozakom, ani Rzeczypospolitej, ani Ukrainie. Można tu się wybrać na zagon i poigrać z Niemcami lub Szwedami, ale przecież wrócić trzeba między swoich. A wasza miłość czemu o to pyta?

— Dowiedziałem się od ludzi, że jesteś jakoby kozackim pułkownikiem, który specjalnie w tym celu przybył, aby rozejrzeć się — gdzie ulokować swój pułk.

— I gdzie miałyby znajdować się to miejsce?

— Na półwyspie Hel. W twierdzy Władysławowo.

Kozak zaczął się śmiać.

— A niech sobie plotkują! Jeśli to waszmości na rękę, wcale ich z tego błędu nie wyprowadzę. Ale to tylko żart, prawda?

— Tylko żart. Nikt mi w ogóle takich sugestii nie dawał. Mam tylko zbadać tajemnicę rozbicia statku „Andromeda”, a namówiłem cię na tę podróż, bo wiem, że lubisz awantury.

— Ech, bracie mój, mości Stuwe, znasz ty dobrze Kozaka Symeona. Ale tak naprawdę to okazji do awantur jeszcze nie było. Zgadzasz się ze mną, kapitanie?. Jak na syna atamanowego, żywot mój upływa w gnuśności i spokoju, prawie jak u popadii za piecem.

— Jutro, pojutrze pewnie ten spokój minie. Kto wie, czy nie będzie trzeba opatrzyć pistoletów.

— Dałby Bóg. Inaczej zgnuśniejemy i szable nam zardzewieją.

Zasypiając już, słyszał Stuwe przez ścianę śpiew Kozaka, ale nastrój pieśni uległ zmianie. Symeon śpiewał w typowym dialekcie kresowej Ukrainy...

„Hej, Kozaczejku, paneż Moj

Dalekże ma jész domek swój? —

Pry berezi, pry Dunaju,

Tam ja swoju chyżu maju..."

Na murach nawoływały się warty.

6. WEJŚCIE NA MAŁE MORZE

O świcie Stuwe i Kozak Symeon opuścili Wisłoujście. Popłynęli na pokładzie niedużego, jednomasztowego statku, który nosił tu miano burdyny lub jachtu, a służył do komunikacji między miastem Hel na półwyspie a Gdańskiem. Wyszli przy sprzyjającym wietrze na zrefowanych żaglach — wzdłuż kanału żeglownego, tak zwanej Głębiny Północnej, między pławami oznaczającymi zasięg mielizn Westerplatte i Osterplatte. Widoczność była dobra, z pokładu wzrok sięgał niemal aż po Piławę na wschodzie, a szyper zapewniał oficera, że widać już także półwysep, chociaż oczy Stuwego nie potrafiły odróżnić na horyzoncie nic innego, poza linią nieba i wody. Na Zatoce Gdańskiej postawili pełne żagle, a na trawersie Oksywia położył ich ostry bejdewind, przy którym szyper statku postanowił przejść barierę Mewiej Rafy bez refowania żagli. Na trawersie Mechelinek zobaczyli białą krechę piany na przyboju, wzdłuż mielizny nazywanej Mewią Rafą.

— Małe Morze liczy się u rybaków od Helu po Oksywie — powiedział wówczas szyper do komisarza. — Ale tak naprawdę, to liczyć je trzeba od tej rafy, co w poprzek całe to morze dzieli. Dalej już musi być na pewno Pucki Wik.

Objasniał to oczywiście tą osobliwą dla przybysza z innych stron Polski kaszubską mową, zmiękczając brzmienie poszczególnych słów. A więc nie wymawiał „morze” ale „muerze”, nie „być” ale „bec”, nie „rybacy” ale „reboce”. Była to jednak mowa dla komisarza zrozumiała i wydała mu się melodyjna. Słuchał jej z przyjemnością.

— A sami jesteście z Gdańska? — spytał, żeby podtrzymać dialog.

— E, skąd by tam z Gdańska! Do Gdańska jeździ się tylko na zarobek, albo z rybami na fiszmark. Checz moja teraz na Helu stoi, a ojcową tu, w Mechelinkach, Zowie się Muza, a Muzów na całej Zatoce znajdziecie panie po jej brzegach całe kopy. Oj-

ciec mój — był to właśnie ten Muza, który szwedzki statek na Mewiej Rafie rozbił, kiedy ostatki pludrów z Pucka uciekały.

— Jak się ten statek nazywał?

— „Rudy Lis”. Ojciec nie chciał się zgodzić na pilotowanie Szwedów, ale go przymusili. Matce i siostrze sztych do gardła przykładali. Byłem wtedy u dziadka w Mechelinkach i mnie oszczędzili, ale matka, ojciec i siostry — w Pucku. Zgodził się więc ojciec przeprowadzić Szwedów na Wielkie Morze, ale rozbił ich na rafie. Straszy tam pono teraz...

— We Władysławowie bywaliście?

— Bywałem, ale dawniej, kiedy tam jeszcze okręty królewskie kotwiczyły. Teraz już nie ma po co. Forteca bez armat, muszkiety bez prochu, wojskowi pana Janicza bez żołdu. Po próżnicy tam jeździć.

Zbliżyli się do bariery Mewiej Rafy i sam Muza chwycił za ster. Dało to okazję Stuwemu, przy sięść się do Kozaka.

— Pojmujesz tutejszą mowę? Miarkujesz, co tu mówią?

— Nie zawsze, ale co to dla mnie — po turecku się nauczyłem w jedną niedzielę, jak mnie w jasyr wzięli Tatarzy i Turkom sprzedali, a dzięki tej znajomości tureckiego — od pała udało mi się odbieżyć. Trochę słów niemieckich nauczyłem się od żołnierzy najemnej piechoty księcia Jeremiego, a tutejszych z Pomorza już się uczę od czasu, gdy stanęliśmy na Oruni pod Gdańskiem. Czy to takie trudne, jeżeli „zomk” to zamek, „zemia” to ziemia, a „tatk” — tato?... Gorzej, że tutejsi mnie nie za bardzo rozumieją.

— Tym się nie martw, Symeon, może to i dobrze czasami, bo jak sobie wypijesz...

— Ech, z tymi tutaj nie ma co pić! Po kubku piwa już oczami wywracają. Musieliby skosztować takiej wódki, jaką na siczy robią — chyba nie byłoby już wtedy o czym z nimi gadać.

Przeszli Depkę i zmienili kurs. Bryzgi piany poleciały na pokład, ale morze nie było tutaj już groźne — gładź jak na jeziorze. W oddali, z lewej burty, majaczyła wieża kościoła w Pucku, a dalej — na wysokim wzgórzu — kościoła w Swarzewie. W miejscu, skąd w głąb morza wychodziła cienka kosa półwyspu, białe domki Wielkiej Wsi, a wprost, przed dziobem — wieża strażnicza Władysławowa. Tam leżała forteca Janicza.

— Spójrz no, wasza miłość, na prawą burtę. Spozrzegasz tamten złamany krzyż nad morzem? To szczątki „Rudego Lisa”. Fale przełamały go wpół — widać tylko dziób z bukszprytem, ale reszta została rozbita przez fale, starta na proch, rozwłoczona po całym Wiku. Sama natura tak to urządziła, że resztki wraka przypominają krzyż. Wiele tam ludzi zginęło. Mój tatko także. Nigdy morze nie zwróciło jego ciała. Tu jego grób... — mówił szyper Muza.

Około południa rzucili kotwicę nie opodal resztek drewnianego pirsu, zbudowanego przed ośmiu laty, gdy cumowały tu królewskie galeony. Planowano usypać kiedyś kamienne molo, ale w efekcie rozejmu w Sztumskiej Wsi nie tylko rozbijono galeony, ale przerwano roboty i tak oto najbezpieczniejszym środkiem komunikacji między okrętem a lądem została szalupa — pirs częściowo rozbiły sztormy, a dojście zamulił piasek... Wsiadło więc do szalupy spuszczonej z bur dyny dwóch marynarzy, sternik i obaj ludzie królewscy — Bernard Stuwe i Kozak Symeon.

Na brzegu oczekiwał ich chorąży Zaręba i jakieś indywiduum w łatanym kaftanie, z hakownicą w dłoniach i w szwedzkim hełmie na głowie — chyba wartownik z fortecy.

— Jestem komisarz Bernard Stuwe. Mam polecenie zobaczyć się z komendantem Janiczem. Pisma powiadamiające o moim przyjeździe zapewne dotarły już do fortecy.

— Każdego dnia jegomość komendant oczekiwał waszmość pana, ale tak się zdarzyło, że właśnie musiał się udać na pogrzeb. Żołnierza z twierdzy chowamy, którego nocą na posterunku nam zabito, a cmentarz kawałek drogi stąd, jeszcze za karczmą. Jegomość komendant zaraz tu się zjawi, a póki co zapraszam na jego komnaty. Odpoczniecie tam waszmościowie. Córka komendanta, panna Krysta, będzie waszmościom towarzyszyć.

Twierdza przedstawiła się obu oficerom tak, jak mogli wyobrażać ją sobie po obejrzeniu map, rysunków i wysłuchaniu na jej temat opowiadań. Zaniedbania ogólne nie wpadały z daleka w oko. Spostrzegało się je dopiero z bliska i wtedy zmurszałe belki oraz osypane wały sygnalizowały prawdziwą sytuację. Weszli przez główną bramę, która nie potrafiłaby na długo zatrzymać nieprzyjaciela, gdyby rozpoczął szturm. Na bastionach nie było dział. Dziedziniec tonął w błocie, po którym chodziły kaczki. Na suchych połączeniach ziemi kury rozgarniały dziobami ziemię. Było to raczej zaniedbane gospodarstwo, podupadły folwark, a nie forteca,

Na ganku budynku oficerskiego ukazała się postać bardzo młodej kobiety, której uroda — jak skonstatował w myśli Stuwe — kontrastowała z całym tym otoczeniem. Ubrana była w czarną suknię z białą kryzą, która jej twarz czyniła podobną do pięknego kwiatu. Nie było w jej spojrzeniu radości, raczej jakieś zadumanie, jeśli nawet nie smutek. Włosy miała jasne, płowe jak żyto, upięte w siatkę, na której połyskiwało kilka pereł. Oczy duże, niebieskie, okolone czernią rzęs.

— Kapitanie, szczo ja widu... — bąknął pod nosem Kozak, mieszając słowa polskie z ruskimi i błysnął w uśmiechu białymi zębami.

— Jestem kapitan dragonów Bernard Stuwe, w ordynansie JW Pana kanclerza wielkiego koronnego i JW Pana hetmana wielkiego komisarz królewski — przedstawił się oficer, szerokim zamachem zdejmując w ukłonie kapelusz. — A ten tu kawaler obok mnie, to porucznik chorągwi zaporoskiej Symeon, z rodu słynnych atamanów czarnomorskich...

— Miło mi widzieć waszmościów. Proszę do komnat. Ojciec zaraz tu będzie, a tymczasem zapraszam na gorącą polewkę kaszubską i gąsior węgrzyna, boście panowie pewnie zmęczeni i zziębnięci. Wiosna jeszcze wczesna, a na morzu dziś dmucha.

Udali się więc po chybotliwych schodach na ganek, gubiąc po drodze chorążego, który zapewne pognał po kapitana Janicza. W izbie biesiadnej — jak można było jej charakterze wnosić ze sprzętów — płonął na kominku ogień i stały już cynowe miski i kubki. Ot, żołnierska zastawa i żołnierskie jedzenie — pomyślał Stuwe. Ze sporego, omszałego gąsiorka, panna naląła im aromatyczne „hungaricum” — ciężkie wino pańskie, po czym z garnka dymiącego nad ogniem wlała do misek kilka łyżek polewki z kluskami. Głodni byli, więc odłożywszy płaszcze i burki, rozpiąwszy dla wygody kaftany, ochoczo ruszyli do stołu. Po zjedzeniu polewki

zakosztowania wina, humory im się znacznie poprawiły. Kozakowi także język się rozwiązał, choć porozumienie się z panną nie przychodziło mu łatwo. Praktyka wykazywała, że nadbałtycka mowa z mową nadczarnomorską mają wprawdzie wiele podobieństwa, ale i wiele różnic.

— Jak taki cudny kwiat uchował się na tym dzikim i pustym wybrzeżu! — dziwował się Kozak, dalej oczywiście używając języka znad Dniepru — Nikt panny do-
tąd nie usiłował stąd porwać?

Stuwe musiał pospieszyć z pomocą, aby przełożyć ukraiński Symeona na polski. Panna uśmiechnęła się, a uśmiech podkreślił jeszcze bardziej jej urodę.

— A skąd u waszmości taka znajomość cudzych języków? — spytała komisarza królewskiego.

— Dużo świata przewędrowałem. Ród mój wprawdzie z Fryzów, ale osiadłych już na dobre na ziemi tutejszej. Dziad mój przybył do Rzeczypospolitej w orszaku króla Zygmunta XII.

— Ze Szwecji?

— Ze Szwecji.

— I nie zamyślasz waćpan wrócić na północ?

— Mam tu ja swoją matkę ojczyznę z wyboru i z nią pozostanę. A w królewskiej służbie w Holandii bywałem, w Szwecji, w Hiszpanii, nawet w Italii, ostatnio zaś na Dzikich Polach, gdzie przyjaźń z tym oto młodym kawalerem, zaporoskim oficerem zawarłem. Zobowiązał się towarzyszyć mi w mojej podróży na Pomorze, bo i jego nęci wielki świat. Tyle, że on od swoich stepów nie ucieknie — nawet we śnie go nawiedzają i szumią mu pieśniami wolnej kozaczyzny. A ja stałego miejsca pobytu jeszcze nie wybrałem. Cała Rzeczpospolita mi domem. Ale... ale... co to się stało żołnierzowi, którego dziś chowają?

Cień jakiś zmaćcił uśmiechniętą twarz dziewczyny.

— Ojciec wróci, to waszmościom opowie. Zabity został jeden z wartowników, gdy wałów strażował.

— Zabity? Ależ to był napad!

— Właśnie, że napadu nijakiego nie było. Zabito go — jak to bywa na wojnie.

— Ale na jakiej wojnie? Rozejmy przecież gwarantują bezpieczeństwo — zdziwił się Stuwe. — Chyba że wojnę z rozbójnikami tu prowadzicie.

— Myślę czasami, że na tym pustkowiu, inne prawa panują, inne reguły; życiem kierują. Mówicie panowie — pustkowie, ale dziś, przy wiosennej pogodzie, nie czuje się tu tak bardzo samotności jak bywa zimno gdy na wałach zasy pył śnieżny wyżej człowieka. Na Małym Morzu wówczas pustynia lodowa aż po horyzont, a mgła Bałtyk tak spowija, że nie wiadomo — gdzie niebo, gdzie morze, gdzie ziemia? Straszno tu wówczas. Straszno i pusto. Miesiącami żadnej obcej twarzy nie uświadczysz. Karczmarz tylko wybierze się czasami saniami do Pucka — prosto, przez zamrażniętą

Zatokę. Ale gdy lód skruszeje, to ani saniami się ruszyć, ani statkiem, a droga wzdłuż półwyspu w kilku miejscach przerwana i morze tam szumi.

— Macie tu konie?

— Są konie. Dwa. Ma jednego ojciec, a jednego chorąży Zareba, ale oba trzymają przy karczmie, razem z końmi karczmarza. Stajnie tutejsze wielkie, ale zrujnowane. Ku zgubie tu wszystko idzie. Nie wie o tym król jegomość w Warszawie?

— Wie, że jest źle, ale chyba w Warszawie nie znają całej prawdy.

— Waszmość to w raporcie napiszesz?

— Napiszę! To oczywiste! Toż to północne strażnice Rzeczypospolitej, same jej pierwsze graniczne bastiony! Sejmikująca szlachta nie zna tej sytuacji tak dokładnie, a zresztą ilu panów na sejmikach wie gdzie rzeczywiście leży Władysławowo? Wiedzą, gdzie Gdańsk, bo tam się Wisła kończy. Może i niektórzy wie coś o Pucku, ale Władysławowo, Hel, Mewia Rafa? A cóż to za dziwa!

— Zmieni się to?

— Zmieni, bo Szwed w rozejmie nie wytrzyma, a wtedy wszyscy przypomną sobie w kraju o nadmorskich sztańcach i ich żołnierzach.

— Czemu waszmość tak źle o Szwedach myślisz?

— Nie myślę źle — po prostu znam prawa rządzące Szwecją i wiem, o czym marzą tamtejsi królowie i panowie. Z Bałtyku uczynić chcą szwedzkie Mare Nostrum, jak ongiś Rzymianie z Morza Śródziemnego. Ale Bałtyk to nie Morze Śródziemne, a Polska to nie Kartagina. Szwecja zaś — nie Rzym.

— Jest waszmość tego pewny?

Nie wiadomo jaki obrót przyjąłaby dalej ta dysputa, gdyby nagle nie zadudniły na korytarzu kroki i w drzwiach nie stanął komendant fortecy.

— Czołem, waszmościowie!

— Czołem mości komendancie!

— Widzę, że Krysta zajęła się już gośćmi.

— A zajęła, zajęła! Polewkę-delicje spałaszowaliśmy, a teraz węgrzyna próbujemy — to mówiąc, komisarz podniósł się z ławy i wyciągnął prawicę do komendanta fortecy. — Jam jest Stuwe. Bernard Stuwe, wysłannik królewski, z glejtem kanclerza wielkiego koronnego i znakiem hetmana wielkiego. Czy otrzymałeś waszmość pismo o moim przyjeździe?

— Otrzymałem — i witaj wasza miłość u nas. A ten drugi kawaler?

— Oficer kozacki z zaporoskiej chorągwi. Komiliton mój. Razem w tarapatach bywaliśmy na Dzikich Polach, wybrał się więc z Czarnego Morza nad Białe, bo Bałtyk i wszystkie morza to dla tamtejszych Ak-Dengiz czyli Białe Morze. Turcy tak wasze morze nazywają, przekonani, że tutaj zawsze śnieg, lód i białe niedźwiedzie.

— Cieszę się, że przybyliście. Siadajcie. Może wasz raport sprawi, że w Warszawie kiesą potrząsną, aby żołnierz nad Bałtykiem głodu nie cierpiał. Nalej mi Krysta tego hungaricum...

— Mogę potem odejść, ojcze?

— A czemu masz odchodzić i dokąd? Wizyta dwóch takich kawalerów to jedyna rozmaitość, jaką możemy sobie zażyczyć, nie licząc oczywiście nocnych strachów.

— Właśnie — co to się stało, że żołnierz wam poległ?

— I to dobry żołnierz. Mietk Góra — się nazywał. A żołnierzy tu niewielu. Prócz mnie i chorążego Zareby, jeszcze tylko dziesięciu zostało. Z tego czterej to weterani, prawie starcy. A reszta o różnych temperamentach. Gdybyśmy na szlaku kupieckim stali, kto wie, czy nie pomogliby ulżyć ciężarom kupieckich wozów.

— Tu także trakt biegnie z zagranicy i bogate towary tędy chodzą.

— Wiem do czego zmierzasz...

— Przecież to nie tajemnica. Chodzi o „Andromedę”, a rajcowie gdańscy tak sprytnie raport w tej sprawie ułożyli, że choć nie wskazali palcem, wszystkie ich sugestie na Władysławowo wskazują. Żołnierz tu bez żołdu, zdemoralizowany beczynnością i biedą...

— I rację mają, że beczynność i bieda, ale żołnierze są tu różni, a dzięki Bogu mam jeszcze tę przytomność, że nad ich żądzami panuję. Gdybym czegoś się dowiedział, kula w łeb!

— Ufa im pan, komendancie?

— Nie wszystkim, ale tym, którym nie ufam wędziło dyscypliny założyłem. Jeżeli się ruszy stąd taki bez mojej zgody, uznam za dezertera. Wtedy sąd wojewody Weyhera lub starosty puckiego pana Działyńskiego. Wojewoda i zarazem primarius miles tych rubieży — pan Weyher — jeszcze może by dezertrowi wybaczył, a nawet kto wie, w eremie go gdzie osadził, bo w pomorskich lasach nowe Jeruzalem wznosi — w dziękczynienie za swoje cudowne ocalenie w smoleńskiej wyprawie. Potem ma tam stanąć miasto jego imienia — Weyherowo. Ale pan Działyński okrutnie na żołnierzy tutejszych cięty, więc kula na pewno by nie ominęła warchoła z załogi.

— A gdyby taki trafił w pańskie ręce?

— Lepiej mu tego nie życzyć!

— A przecież odbiegło fortecę wielu ludzi. Zdaje się, że garnizon liczył kiedyś setkę.

— Ba, było i więcej, byli budowniczy fortalicji i cieśle okrętowi, byli specjaliści od takielunku i kupcy. Forteca była za mała, żeby to wszystko pomieścić, a karczma zawsze pełna ludzi.

— O tę karczmę poszedł ponoć spór między starostą a panem Weyherem.

— O co tu sporów nie było? — O karczmę, o łaźnię, o rąbanie drzewa, o prawo do sztrađu, czyli do strażowania brzegu i zbierania tam tego, co morze wyrzuci.

— No właśnie — jak z tym prawem do sztrađu?

— Tutaj — koło fortecy i koło Kazimierzowego Szańca, wedle Kuźnic, to my prawo mamy. Ale da- lej — pana starosty sztrađowi sołtysi czuwają.

— Oglądał waszmość wrak „Andromedy”?

— Rozbity potężnie, wpół przełamany i dokumentnie ograbiony.

— A ludzie?

— Ani jednego. Czy to tak trudno dół wykopać i wszystkich do niego schować? A może także inaczej — kamień każdemu koło szyi uwiesić i — hajda w wodę! Śladu nie będzie.

— Kto mógł tego dokonać?

— Nie wiem. Musiała to być zmowa całej garści ludzi, bo taką rzecz niełatwo przeprowadzić. A od czasów Hanzy i Braci Witalijskich — jak tutejsi piraci siebie nazywali — takich kunsztownych operacji na tym wybrzeżu nie przeprowadzono. Owszem — zdarzało się, że wchodził statek na hak — czyli mieliznę, że sztrađował i że go grabiono, ale katastrofa była dziełem przypadku. Tu zaś pachnie wszystko pi-racką sprawą, kunsztownie przygotowaną. Wiem, że rajcowie wskazują, na moją for-tecę jako źródło zła. Boją się tej fortecy, bo przypomina im ona zamysł królewski o pobieraniu ceł morskich. A misternie, trzeba przyznać, intrygę knują, bo nie dalej jak wczoraj znalazłem w piwniczce pod oficerskimi kwaterami coś szczególnego. Pokażę zaraz panom.

Wstał, podszedł do wielkiej szafy i wyciągnął stamtąd jakiś ciężki przedmiot, owi-nięty w materię z worka na zboże lub mąkę.

— Patrzcie panowie jakie mi tu kukulcze jajo znieśli...

Ściągnął worek i wówczas oczom wszystkich ukazał się dzwon pokładowy. Nie było trudno odczytać napis na kielichu dzwonu: „Andromeda”.

— Sponuję, że podłożono to tej nocy, gdy zginął żołnierz Mietk Góra, bo po cóż w innym celu miałyby ktoś penetrować nocą tutejszą fortecę? Ani złota, ani prochu u nas by nie znalazł. Chodziło o to, żeby dzwon, jako „corpus delicti”, zobaczył komisarz królewski. Wtedy nie wykręciłbym się od odpowiedzialności za zatopienie statku. Pokazuję wam więc panowie „corpus delicti” i wierzcie mi albo tym insynuatorom, którzy intrygę jak sieć pajęczą snują. Ale jeżeli tej nocy wrzucono do mojego ogrodu ten dzwon, to musiało to się zdarzyć nie bez pomocy kogoś z mojej załogi. Znacie teraz moją sytuację — z resztkami załogi, bez żołdu, bez pieniędzy, żywiony na kredyt przez karczmarza, mając szpiega w samej twierdzy i wrogów na zewnątrz, a wreszcie spotwarzony w haniebny sposób. Gdzie szukać obrony, gdzie sprawiedliwości, a przede wszystkim, w jaki sposób wziąć odpowiedzialność za morskie granice Rzeczypospolitej? A wróg nie śpi i gdy nastanie odpowiedni czas ku temu, z pewnością uderzy. Kto mu wówczas tutaj czoła stawi?

Umilkł i opuścił głowę na piersi. Krysta wstała, naląła całej trójce do kubków węgryzna i nie pytając już więcej ojca o zgodę na opuszczenie oficerskiej kompanii, wyszła z izby.

7. W LABIRYNCIE

Wstąpili na wały, brnąc po kostki w błocie. Wszędzie widać było, że wiatr, śnieg, deszcz uczyniły poważne szkody w fortyfikacjach i dalsze pozostawienie warowni w takim stanie, doprowadzi do jej całkowitego upadku,

— A gdzie armaty? — spytał komisarz.

— Jak to, „gdzie”? W Pucku. Nie ma tu kanonierów, nie ma więc armat. Mam dwie lufy od szwedzkich karonad, zdjętych jeszcze z orlogu „Cristina”, który wszedł na mieliznę i zdobyty został przez ludzi pana Lanckorońskiego. Obie jednak bez lawet — leżą w naszej zbrojowni i czekają lepszych czasów. Gdzie ta zbrojownia? Ot, tam, pod wałem, naprzeciwko domu oficerskiego.

— Czemu nie naprawiacie wałów?

— Kto ma to robić? Niektóre drobne prace moi żołnierze przeprowadzą, ale większych dokonywać nie zwyczajni. Drwale i cieśle z nich żadni, a tu las trzeba rąbać i ciąć na deski oraz pale i gonty sposobić. Zresztą — las tu nie nasz, ale starościński. Dbamy o niektóre miejsca w fortecy, najbardziej wrażliwe na atak wroga, ale prawdę rzekłszy — o jakiej obronie tu mówić? Mam jeden falkonet na wieży, służący do odpowiadania na salut królewskiej flagi. Mam trochę hakownic i muszkietów, kordelasów i pik. A prochu nie wiele... Sami kule tu lejemy do muszkietów, ale i ołowiu na kule nie staje.

Żołnierze wrócili już z pogrzebu, słyhać było ich śpiewy w koszarach i komisarz nie dałby głowy, czy z żalu za poległym druhem muszkietrzy z Władysławowa nie uraczyli się w karczmie jakąś zbożową okowitą. Wskazywałyby na to charakter pieśni, nie głoszący ani za grosz żałoby, ale raczej same frywolności.

„...Pod jaworowym cieniem Wróży panna pierścieniem, Rychło li mój drogi Przyjedzie z tej drogi I z jakim pocieszeniem...”

— Wybacz waszmość, ale nie mogę pojąć, po co w takim razie utrzymywać tu jakąkolwiek załogę? — nie wytrzymał Stuwe, strzelając pytaniem największego kalibru

— A to widzę, że waćpan jeszcze nie całą duszą do Polaków przystał, skoro tego nie rozumiesz — odparował komendant. — Po polsku słusznie gadasz, ale w polityce i obyczaju naszym jeszcze odstajesz.

— Nie rozumiem, waszmość komendancie.

— Tak daleko, jak sięga tu ziemia, aż po morskie fale — jest Rzeczpospolita. Jesteśmy strażnikami jej rubieży. Gdyby nas tu nie było, każdy mógłby wylądować i swoją plugawą stopą świętą ziemię naszą pokalać. Pod arsenalem w Krakowie widziałem kiedyś żołnierza z muszkietem i nagle pewien mój kompan wzruszył ramionami i rzekł: „Cóż tam taki jeden żołnierz znaczy na straży arsenału?” A ja mu na to: „Tona” — odpowiedziałem. — „A jeżeli rebelia lub woj. na, cała Rzeczpospolita za tym jednym żołnierzem się ujmie”. Oto sens naszego trwania w tym miejscu do ostatniego człowieka.

Komendant Janicz stanął nagle i spojrzał w oczy komisarzowi królewskiemu.

— A obyczaje?

— A obyczaj to taki, że jeśli wróg tu najdzie, przyjdzie nam gardło dać. I po to tu stoimy. Może jeszcze idź asan mimo niego do wnętrza”. On mi na to: „Nie puści, chyba gwałtem”. „Ale gwałt to rebelia lub woj- zdążymy zawiadomić Puck i Gdańsk. Ale — zawiadomimy czy nie: los nasz będzie jednaki. Jesteśmy tu po to, żeby umrzeć. Dlatego mamy prawo żądać żołdu i protekcji samego króla jegomości.

Z koszarowego budynku znów dobiegły słowa wesołej piosenki. Teraz śpiewał jeden żołnierz. Głos miał potężny i niósł on się chyba daleko poza wały twierdzy.

„...Jasieńku, Jasieńku Co moje, to twoje Dla ciebiem to chowała...

— Nie martwią się stratą towarzysza — obruszył się komisarz.

— Martwili się już, ale dziś ich kolej na nocną wartę. Rozumiesz waść? Jutro może być pogrzeb jednego z nich. W Rzeczypospolitej jest rozejm, ale na granicy zawsze wojna. To starzy żołnierze — niejedną śmierć już widzieli. Może nieprzychylny waszmość im, bo uprzedzili cię do nich. Może tam wśród nich jest jeden tchórz albo i szpieg. Śmierć Góry i ten prezent z „Andromedy” — najlepiej o tym świadczą. Ale nie sądzić nam przez to źle o całej załodze. Gdy przyjdzie ich czas, legną tu z muszkietami w dłoniach.

— A czas taki może nadejść skoro?

— Mówiłem już, że ostatnio za często Szwedzi się na morzu kręcą?

— Podobno ich okręt cumował niedawno w porcie helskim.

— No więc ma pan przykład na moje niepokoje.

— Podobno jakieś ognie widać nocą na Małym Morzu.

— O tym waszmość też słyszałeś?

— Sprawdzić trzeba by...

— Rybak nie popłynie, bo to strach — może złe, a może Szwed. W obu przypadkach — śmierć. My mamy wprowadzić mały bacik, ale żeglarzy wśród nas nie ma. Wszyscy odeszli z załogi. Są tu sami muszkietrzy. Dawniej roiło się od marynarzy, od kupców i oficerów — teraz mewy do nas tylko zagląдают, no i na ten raz komisarz królewski.

— Nie przyjechałem tu nastawiony źle, ale znalezienie odpowiedzi na wszystkie pytania wymaga, aby takie pytania stawiać. Muszę znać wszelkie warunki panujące we Władysławowie, jeśli chcę odeprzeć podejrzenie na was rzucone.

— Ale przecież warunki te umacniają podejrzenie — jesteśmy nędzaczami i nic nie byłoby w tym dziwnego, gdybyśmy imali się rozboju. Co może więc poświadczyć o naszej niewinności?

— Znalezienie prawdziwych winowajców grabieży „Aftdrftnedy”.

— Łatwo powiedzieć, trudniej dokonać. „Andromeda” weszła na brzeg na wschód od cypla Rozewie, koło Karwii.

— Kto pierwszy doniósł o wraku?

— Sołtys sztrađowy

— Wybieralny?

— Nie, nie ma tu sołtysów wybieralnych — wszyscy mianowani — we wsiach i na sztrađzie. Jedynie we wsiach z osadnikami holenderskimi są sołtysi wybieralni. Sołtysów sztrađowych mianuje starosta. Znam ich, bo pan Weyher miał przez nich wiele kłopotów.

— Co to za kłopoty?

— Sołtys tutejszy, niejaki Mikołaj Krzywy — co po naszymu znaczy po prostu garbaty — uparł się kontrolować sztrađ pod fortecą, a przecież my za to odpowiedzialni i nie przed starostą, lecz przed królem.

— Co z tym sołtysem?

— Teraz w Wielkiej Wsi siedzi. To on znalazł wrak „Andromedy” i zawiadomił starostę, a starosta Gdańsk. Pojechałem i ja, obejrzałem — rzeczywiście dziwna histo-

ria. Statek wpakowany na plażę, jakby takim właśnie kursem płynął. Znaleźliśmy także ślady ogniska na brzegu, niedaleko miejsca katastrofy.

— Mogli to ognisko wziąć za światło na Helu?

— Musieli w takim przypadku mieć nie najlepszego szypra.

— Można tam pojechać?

— Można. Są w zajęździe nasze dwa konie wierzchowe.

— Znaczy — w karczmie...

— Teraz to i karczma, i zajazd, i wozownia. Po Władysławowie ślad zaginie, a karczma zostanie. Jutro może waszmość ze swoim Kozakiem pojechać, a przemocujecie tam w zajęździe u młynarza. Właściwie „U Wesołego Młynarza” — bo tak się ów zajazd mianuje.

— Gdzie to?

— Na południe od Wielkiej Wsi, przy drodze na Puck. Co wam to jednak przynieście, — nie wiem. Miałbym natomiast do waszmości jeszcze innej materii prośbę.

— Jaką to?

— Żołnierze wiedzą, że przybył komisarz królewski i wiążą z tym nadzieje, że zmieni się sytuacja fortecy, że wypłacony zostanie żołd, że wzmocni się wały i bastiony... Oczywiście — i do nich doszła ta sprawa o „Andromedzie” i to ohydne podejrzenie, że nasz żołnierz to sprawił. Dyscyplina tu, prawdę mówiąc, słaba, ale bronić twierdzy będą ci ludzie nawet sztyletem. Jest tu może jeden szpieg, ale odnajdę go i powieszę — natomiast reszta będzie się bić. Oszczędź im więc waszmość tego, aby myśleli, że jedynie w sprawie tej katastrofy przyjechałeś, lecz że królowi jegomości, kanclerzowi koronnemu i hetmanowi nasza fortalicja na sercu leży i cała nieszczęsna załoga tej opuszczonej przez Boga placówki. Zrobisz to waszmość?

— Mogę zrobić więcej — orędownać gdzie będę tylko mógł, aby w Warszawie kieszę wreszcie ruszyli. Władysławowo potrzebuje wzmocnienia wałów, uzbrojenia... nie tylko żołu.

Stanęli na południowo-wschodnim bastionie i pozdrowili wartownika. Janicz spytał, czy wszystko w porządku, na co wartownik odpowiedział, że „daj Boże takiego porządku więcej”. Ale Stuwe dostrzegł dziurawe buty, łatané hajdawery i wytarte łokcie żołnierskiej kurty. Muszkiet był kołowy, ale mocno już sfatygowany i nie wiadomo, czy zdałoby się na co z niego celować, jeżeli lufa znajdowała się w podobnym stanie jak kolba. .

— A gdzie waszmość kozackiego oficera zostawił? — spytał nagle Janicz komisarza.

— Chciał się rozejrzeć po okolicy, to mu zezwoliłem.

— Rozejrzeć się? Toż w całej okolicy kilka checzy rybackich, łaźnia i karczma.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby odwiedził karczmę.

— A w jakim celu?

— Posłuchać, co ludzie mówią.

— Więc mi nie dowierzacie?

— Dowierzamy, dowierzamy, ale waćpan tu zadomowiony, z pewnością wiele spraw dla ciebie naturalnych, a dla nas wszystko nowe. Więcej przez to widzimy. Poza tym, daruj sobie powiedzieć, ogólna sytuacja w jaką popadłeś wcale do czynu cię nie mobilizuje. Zgorzkniały jesteś, czekasz na uznanie chwalebnej sprawy, której bronisz. Ale tak naprawdę, to ty chyba czekasz na tę żołnierską śmierć, o której mi przed chwilą mówiłeś. Napadają i mordują żołnierza w fortecy, a ty alarmu nie robisz, winnych nie szukasz, pościgu nie organizujesz. Dziedzinię w błocie — a żołnierze z bezczynności chór sobie założyli. Sprawa „Andromedy” to jedno, a forteca to drugie.

Wiem, że ci to na sercu leży, ale tu potrzebne nie tylko serce, ale i rozum i ramię żołnierskie. Wybacz moje słowa, bo młodszy znacznie wiekiem jestem, choć rangą ci równy — ale w ordynansie przyjechałem, mam więc prawo w to wszystko wejrzeć.

— Jak sobie wyobrażasz waćpan ten pościg, jeżeli nieprzyjaciel na morze uszedł?

— Nie ja tu dowódcą. Twoja rzecz, panie komendancie, ścigać. Moja rzecz, całą tę historię wyświecić, a to także zadanie niełatwe. Kto wie, czy zamordowanie twojego żołnierza i sprawa „Andromedy” gdzieś się z sobą nie łączą?

— Jak to możliwe?

— Nie wiem, ale spróbuję to zbadać. Dajesz mi więc konie?

— Daję. U karczmarza je waszmość znajdziesz. Jutro chcesz jechać?

— Jutro.

— Do wraka „Andromedy”?

— Jak. Opatrzą konie do jutra?

— Co tam do opatrywania! Są zawsze w pogotowiu. Tylko ich nie zajeżdźcie! A ostrożnie przez wyrwy w półwyspie przejeżdżajcie!

— Dlaczego trzymasz waćpan konie poza fortalicją?

— Karczmarz ma stajnię na zimę opatrzoną. Dwie swoje chabety tylko trzyma, a miejsca tam dla dziesięciu koni.

Zeszli po drewnianych stopniach na dziedziniec, rozganiając stado kur.

— A może nie tylko te, o których mówiliśmy, ale także inne jakieś kłopoty cię trapią, mości Janicz? Rzeknijcie jak do druha. I nie gniewajcie się, jeszcze raz proszę, że ktoś w wieku pasującym do waszego syna, pozwala sobie czynić wam uwagi.

— W uwagach waszych — Bogiem to a prawdą — nie widzę złośliwości lecz rozsądek, ale to rozsądek kogoś, kto z centrum świata przybył na jego kraniec i jutro do tego centrum wróci. A ja tu zostanę.

— Podoba mi się tu. Chciałbym dostać kiedyś taką placówkę pod swoją komen-
dę...

— To pozory tylko tak urokliwe — morze, siwe niebo, sosny i krzyk mew... W rzeczywistości...

— No właśnie — co w rzeczywistości?

— Mam dodatkowe kłopoty, to prawda. Ale one nie związane z fortem, nie z „Andromedą” i nie z zabójstwem żołnierza. Nie dziś pora o tym opowiadać. Zbyt to trudne dla mnie. Będzie okazja, to pogadamy i na te tematy. A teraz pozwól waszmość, że pokażę ci twoją kwaterę w miejscu, gdzie sam pan Weyher nie raz nocował za dobrych czasów, bo teraz to i on woli pokój w zajeździe, kiedy tu przyjeżdża. Komnata oficera kozackiego znajdzie się obok. Skromnie będzie, ale wyrozumiesz waszmość sytuację...

— O to się nie frasuj! Rzecz to zwyczajna w żołnierskiej służbie.

Komnatę znalazł Stuwe przygotowaną z całą starannością, w czym wyczuł rękę kobiecą. Nawet w kominie napalono, bo wiosna nad Bałtykiem lubiła kaprysy i od marca do maja zwiastuny lata przeplatały się ze wspomnieniami zimy. Posłanie zostało już przyrządzone, a że ręka czyjaś położyła na wierzch łóżka baranicę, komisarz królewski rzucił się na wznak na futro, i licząc sęki w belkach powały, jął zastanawiać się nad raportem, który przyjdzie mu sporządzić. Oczywiście — nie znał końcowego rezultatu dochodzenia prawdy, ale postać komendanta wydawała mu się czysta, jeżeli nawet ktoś z jego żołnierzy znał całą tajemnicę „Andromedy”, Janicz był oficerem godnym, prawym w czynach, ale czy obecnie był w stanie wydzwignąć fortecę z upadku, gdyby nawet przyszły pieniądze na zaległy żołd, gdyby zezwolono na werbu-

nek nowej załogi i na odnowienie fortyfikacji? A owe niedomówienia czy dotyczyły spraw domowych, czy może troską o Krystę powodowała, że żołnierzowi pogranicza brakowało już sił? Kry sta — tak, było w tej dziewczynie coś urokliwego, choć równocześnie jakaś tajemniczość.. Zaskakiwała urodą i obyciem, które nie tylko z domu przyszło, ale i z zakładu panien żarnowieckich. Ze zdumieniem Stuwe odkrywał, że choć nigdy jeszcze nie potrafił określić ideału kobiecego swych marzeń, obecnie — za sprawą Krysty, ten ideał jawił mu się coraz klarowniej. Potem pomyślał o chorążym Zarębie, którego wzrok, kiedy na pannie się zatrzymywał, ciche uwielbienie wyrażał. Ale czy było w tym spojrzeniu coś, co mogło w przyszłości zabrzmieć miłosnym wyznaniem?

Nie doszedł jeszcze Stuwe do żadnych wniosków, gdy zjawił się oficer kozacki. Po blasku jego oczu Stuwe poznał, że mołojec pił, ale o zagłębienie do czarki przez Kozaka był spokojny. Symeon wiedział, ile wolno pić, aby nie pokalać godności czarnomorskiego oficera.

Ktoś musiał mu wskazać jego komnatę i komnatę komisarza, bo trafił bez poszukiwań, pewny, że zastanie Stuwego. Zdjął kołpak w progu, ukazując podgolony łeb i ciężko usiadł na kraju ławy przy stole. Jako młodszy wiekiem, stopniem i funkcją spełniał czasami rzeczywiście wrażenie jakiegoś giermka przy tym urzędowym ryce-rzu — kontrastując z nim urodą, strojem, bronią, mową, a wreszcie i temperamentem. W charakterze asysty, czy może adiutanta wybrał się na wybrzeże w przekonaniu, że czekać go będzie nie lada przygoda. Tymczasem wszystko, co zdarzyło się dotąd, zaczynało go wyraźnie nudzić. Ale z jego miny Stuwe poznał, że nuda odeszła wreszcie Kozaka. Coś zaczynało się widocznie dziać...

— Mam mówić? — spytał Symeon.

— Mów wszystko po kolei. Coś zobaczył i coś usłyszał...

— Obszedłem naprzód twierdzę. Chyba i wasza miłość odniósł podobne wrażenie. Smutek i rozpacz. Kozacki podjazd zająłby taką stanicę w ciągu jednego pacierza, gdyby; stała na Dzikich Polach...

— Ale ba, tu nie Dzikie Pola...

— Morze przypomina mi zawsze stepowe pole, a step przypomina o morzu.

— Mów dalej...

— Podgrodzie, jeżeli tak mianować osadę, która powstała w okresie, gdy wszystko tętniło tu życiem, jest duże, ale to podgrodzie wspomnień. Są warsztaty okrętowe, baraki robotników, pełno jakichś sprzętów, ale nikogo tam nie ma. Jest jednak kilka chat rybackich i tam są mieszkańcy. Wszystko to ludzie z jednego klanu — Budzisz. Twardzi, bo i ich chleb morski twardy, ale zamknięci w sobie, milczący wobec obcych — czemu się nie dziwię. I jest wreszcie zajazd z gospodą. Pokręciłem się i tam, wypilem. Gospodarz nazywa się Paweł Kołaczek. Nie stąd, a z dalekich stron, od Piły czy Ujścia... Przyjechał robić pieniądze i umie je robić — nawet teraz, gdy JW Pan Jakub Weyher kredyt dla załogi fortecy otworzyć mu kazał. Mój strój, mój golony łeb i moja szabla, moje szarawary — wszystko wzbudziło tu zainteresowanie. Spotkałem nawet takich żołnierzy z fortu, którzy na Dzikich Polach bywali, a na grzbiecie już szósty krzyżyk noszą. Zgadłeś waszmość, że będą mnie wypytywać, czy tu załoga kozacka nie przyjdzie. Słyszeli o ataku kozackim na szwedzkie okręty pod Piławą, kiedy to przed rozejmem w Sztumskiej. Wsi pułkownik konstanty Wołk na Pomorzu się zjawiał. Kozak to dla nich straszny żołnierz. No, więc nie odpowiedziałem ani tak, ani nie — będą teraz mieli o czym gadać na długo, a jeżeli to dalej pójdzie, może mir ogólny wobec fortalicji ugruntuje. I jeszcze jedno — do stajen zajrzałem, ale tak dyskretnie, że nikt nic nie zauważył, poza jednym pacholkiem, którego opłaciłem, aby pary z ust nie puścił. W stajniach — rzeczywiście obszernych i pięknych, znalazłem dwie chabety gospodarza, konie komendanta Janicza i chorążego Zaręby — rzeczywiście godne to rumaki i nikomu wstyd by nie było ich dosiadać. Ale co waszmość powiesz, że zna-

lałem jeszcze dwa inne konie pod siodła i wcale piękne. A siodła praktyczne u nich do wojaczki, z olstrami na pistolety, w niemieckim typie.

— Zaciekawiasz mnie.

— I ja ciekawy byłem. Udałem się więc do gospodarza, a ten na to: „Konie, jakie konie”? Poszliśmy więc do stajni, a tam już żadnych innych koni nie ma, tylko chabe-ty karczmarza i wierzchowce Janicza i Zaręby. Potem z jednym pacholem w dyskurs się wdałem, a gorzałka otworzyła mu gębę. Jeźdźców dwóch widział jak odjeżdżali.

— A jak przyjeżdżali, to nie widział?

— Jednego tylko obaczył, z luzakiem.

— Wierzyć w to?

— Ach, panie komisarzu, tu przecież tak nudno, że jeżeli o północy kot kulawy przejdzie drogą, wszyscy go widzą. Tyle, że nie mówią. Lud tu milczący, to i pewność, że pary o tym z gęby nie puszcza.

— A jednak ów pachol puścił...

— Ba, to nie on, a gorzałka. A ludzie tu pić niezwyczajni. Za biedni. Żołnierze po-fołgowali sobie na stypie, ale inni marzyć o tym tylko mogą. A i stypa na kredyt. JW Pan Weyher zapłaci, jak mi mówiono.

— Co o tych jeźdźcach po głowie ci chodzi?

— Prosty u mnie rozum, kozacki, może więc myślę się w tych moich supozycjach...

— Mów jaśniej.

— Widzi mi się, że ci, którzy zabili żołnierza w twierdzy, rzeczywiście wylądowa-li na brzegu i wrócili łodzią do siebie, to znaczy albo na okręt, albo do swojej tajnej bazy na półwyspie po gdańskiej stronie. To oni zapewne podłożyli komendantowi tę część z „Andromedy”.

— Żebym ja ją znalazł?

— Waszmość albo i nie waszmość. Idzie przecież o kompromitację komendanta i całego posterunku, O zrzucenie odpowiedzialności za napad na tych z fortecy, Najlepiej pasowałoby im chyba, gdyby waszmość tutaj w czasie inspekcji gardło dał. Wtedy już sprawa byłaby prosta — komendant i żołnierze do lochów by poszli. No i koniec z morskim szańcem Rzeczypospolitej na długo!

— Mądrze wymyśliłeś, Symeon. A co z końmi?

— Jeden z tych, którzy wylądowali pozostał, przespał się w karczmie i pojechał. Dla niego był ten luzak, którego pacholek przyprowadził. Skąd? Nie wiem. Może z Pucka? Za mało orientuję się w tych stronach.

— Jutro jedziemy zobaczyć wrak „Andromedy”. Może uda się dopaść po drodze tego tajemniczego człowieka, który nocował w karczmie. A kiedy wrócimy, poszukamy, gdzie może być baza tych, którzy go łodzią przywieźli.

— Mieliśmy zbadać tylko tajemnicę „Andromedy”.

— Ba, tajemnica splata się tu z tajemnicą.

— A więc jutro, skoro świt, ruszamy?

— Tak. Jutro, skoro świt... A dziś jeszcze czeka nas wieczerza u komendanta.

— Jeżeli wasza miłość pozwoli, ja podziękuję za gościnę. Rozejrzę się jeszcze. Coś mi naokoło niebezpieczeństwem pachnie. A tobie komisarzu, radzę także na wszystko uważać.

— Mówisz, że mogą mnie zgładzić?

— To by im pasowało.

— Straszysz mnie chyba, Symeonie.

— Nie, nie straszę. Tu rzeczywiście śmiercią zalatuje. I tylko te oczy krasawicy... '

— Mówisz o córce komendanta?

— Właśnie. Za piękne oczy, jak na taką stanicę na końcu świata. Uważaj waszmość na siebie, bo serce stracisz.

— Chętnie dałbym się tym oczom skusić.

— Pierwszy raz to słyszę z ust waszmości, może więc ostatecznie wyparowała z twoich żył zima północy? Podoba mi się, że tak mówisz.

— Ba, może to jeszcze jedna tajemnica?...

— Tym lepiej, wasza miłość. Może przyjdzie ci i tę tajemnicę rozwikłać za jednym zamachem? Mógłbym ci być družbą na weselisku, jeżeli nie raziłoby tutejszych, że ja w stepowej cerkwi ochrzczony i wodą z Dniepru.

8. NOC PEŁNA ZDARZEŃ

Dziwnie wypadła wieczerza zapowiedziana przez komendanta Janicza. On sam pozostał w łóżku złożony niemocą, choć człek był to twardy. Wszyscy twardzi ludzie — którzy w młodości zbyt wiele uwagi nie przywiązywali do tego co jedzą i gdzie śpią — na starość odczuwają przecież różne bóle i dolegliwości. Swego dowódcę pielęgnował wówczas Zareba. Wiedział on podobno, którą chorobę jakie ziele leczy. Teraz też przygotował aromatyczny wywar dla komendanta i obiecał zostać z nim aż do zaśnięcia.

— Obu panami oficerami zajmie się moja córka, której w tej sytuacji honory domu czynić przypadnie — wyjaśnił Janicz z boleściwą twarzą.

Stuwe nie tłumaczył już, że panna honory domu czynić będzie tylko wobec niego samego, bowiem oficer kozacki ruszył na swoje zwiadowcze ścieżki i wieczerzać pewnie będzie w gospodzie. Sam nie był głodny, a panna także bez apetytu, nieprzydatne więc okazało się wystawne jadlo, przyrządzone z tej okazji przez żonę karczmarza i przysłane do fortu. Zasmakował jedynie Stuwe w winnej polewce, do wypicia której pannę udało mu się namówić. A że wina było w polewce sporo, zaszumiało im w uszach i ośmieliło do rozmowy. Pytał więc oficer pannę, jakie są jej marzenia w tej gnijącej twierdzy, gdy patrzy na błotnisty majdan albo na siwe, północne niebo.

— Markotno tu, nawet klasztorna edukacja w Żarnowcu wydaje się z tej perspektywy weselsza — przyznała panna. — Ale nie ma dla mnie innego wyjścia.

— Z tak gładkim licem, nietrudno znaleźć wyjście. Wystarczy tylko kawalera odpowiedniego znaleźć.

— Kawalerowie tu nie bywają. Gdybym mieszkała w Pucku lub w Gdańsku, to rzecz inna, ale we Władysławowie śledź jeno albo dorsz może się okazać kandydatem do małżeństwa... Zresztą — nie pilno mi do tego.

— A ojciec waćpanny nie myślał o tym, aby wysłać swą córkę do Gdańska, albo nawet do Warszawy?

— Jeśli myślał, to nic o tym nie mówił. Teraz i na myślenie o tym za późno. Zgorzkniał ostatnio i osłabł.

— Troski go różne gnębią.

— To pewne. Czy uwierzyłeś mu waszmość, że nie ma on nic wspólnego z tragedią „Andromedy”?

— Wierzę mu, ale nie można go całkowicie rozgrzeszać za tę sytuację, w której takie posądzenie mogło się zrodzić. Kto zobaczy obecnie Władysławowo, może we wszystko uwierzyć. Fort umiera, a wy razem z fortem.

— Żołnierze są bez żołdu.

— Ciągle o tym słyszę, ale to nie powód główny. Pani ojciec jest żołnierzem, dowódcą załogi i komendantem fortu, musi więc ponosić odpowiedzialność za wszystko i egzekwować spełnianie obowiązku przez żołnierzy. Gdyby na Dzikich Polach wartownik nie upilnował nieprzyjaciela, który wtargnął do obozu, wbito by go na pal.

— Jeden z wartowników zginął.

— Ale drugi żyje i nawet go nie ukarano. Kury i kaczki łążą po dziedzińcu, jak w wiejskim obejściu. Ojciec pani to dobry i uczciwy człowiek, ale nawojował się już dosyć i czas mu na odpoczynek. Powinien osiąść w domku z ogródkiem i żyć wspomnieniami, otoczony powszechnym szacunkiem.

— Nie jest aż tak stary.

— Jest. Nie zawsze lata stanowią odpowiedni miernik możliwości człowieka. Przekonany jestem, że nie maczał ręk w sprawie tego żaglowca, który trafił na sztraż pod Karwią, nie wątpię w jego dobre intencje na rzecz fortu, ale na dowodzenie tutaj jest za stary.

— Jeżeli ktoś mu to powie, dobije go.

— W takiej chwili powinna pani znaleźć się u jego boku i wesprzeć w kłopotach. Ma tylko jedną bliską osobę, która może go zrozumieć. A będzie potrzebował zrozumienia i pomocy. Wygląda panna na osobę, która gdy serce okaże, umarłego do tańca namówi. Korzystaj więc panna więcej z tej twojej dobroci, którą w sercu nosisz.

— Czy znajdzie pan winnych rabunku wraku „Andromedy”?

— Mam nadzieję, że znajdę. I nie tylko to...

— A co jeszcze?

— Mnóstwo tu różnych tajemnic, spróbuję i te przy okazji wyświetlić. Jedna tajemnica goni drugą.

— Jakie tajemnice?

— Och, różnej one materii i chyba nie ja o nich powinienem rozprawiać. Napije się panna jeszcze?

— Boję się. W głowie mi szumi. Jeżeli łaska, chciałabym odejść od tych spraw.

— Na rzecz jakich?

— Opowieści waszmość pana o wielkim świecie.

— Ciekawi cię on, waćpanno?

— Ciekawi. Bardzo ciekawi.

— Świat szeroki rzeczywiście ciągnie człowieka, Mnie do Italii losy zawiodły, do Szwecji, potem na Dzikie Pola.

— To pewnie i tu miejsca długo nie zagrzejesz...

— Będzie jak się zdarzy. Są złe strony, smutne, może nawet niebezpieczne całej tej sprawy, ale są i radosne.

— Co tu radosnego?

— Choćby taka rozmowa z panną, jak dziś.

— Może waćpan tego nie ciekawy, ale za mną też się pewna tajemnica wlecze. Smutna tajemnica...

— Mów dalej...

— Taki już tutaj świat na rubieżach — gdzie nie spojrzeć, tam tajemnice...

— A jakaż to tajemnica za tobą stoi?

Pochyliła głowę zamknęła oczy i palcami dotknęła skroni.

— Szumi pod czaszką ta polewka winna, oj szumi. Boję się, że zacznę waszmości niedorzeczności gadać. Lepiej zamilczę.

— Mnie także szumi, ale mimo to ciekaw jestem, co odpowiesz na moje pytanie.

— Zapomniałam już o co pytałeś...

— O tajemnicę, o twoją tajemnicę...

— Tak, o tajemnicę... Jaką tajemnicę? Chyba o tę kolebkę, w której mnie znaleziono, a którą fale na brzeg wyrzuciły. Przybyłam tu jak Mojżesz w koszu nilowym. Wynika, że nie Janiczowa ja córka, ale znajda Ojcem moim mógł być rozbójnik albo admirał, Wojny szwedzkie wtedy się dokoła toczyły, a pan hetman Konięcpolski Puck zdobywał.

— A teraz ja z listem pana kanclerza wielkiego i pana hetmana Koniecpolskiego się zjawiam i w oczy panny patrzę... Koło się zamknęło. Mnie możesz, panna, całą tajemnicę wyjawić.

Ani w oczy jej już nie patrzył, ani nie wiedział dlaczego i jakie koło miało się zamknąć. Coś się z nim dziwnego dzieć zaczęło. Czyżby to skutek polewki? Kry sta głowę opuściła jeszcze niżej, aż czołem uderzyła o stół. Stuwę podniósł się z ławy, ale izba zawirowała mu wraz ze sprzętem dookoła. Zrobił krok i chwycił się ściany, aby nie upaść. Po omacku, jak ślepy wyszedł na ganek, poczuł na twarzy wiatr, ale ciemność wieczoru do reszty go oślepiła. Spił się? Czym? Kubkiem polewki? A jeśli to trucizna? — strzeliła mu nagle myśl, wydobyta gdzieś z samej głębi świadomości. Jeżeli Kozak miał rację, że chcą go tu zabić?

Krok po kroku zaczął zsuwać się po stromych schodach, uczepony kurczowo poręczy. Byle dojść do swojej komnaty i zwalić się na łóżko, a potem spać, spać, spać! Tak, to nie było upojenie alkoholem, ale senność, zwykła senność, której towarzyszą jakieś nieprawdopodobne obrazy wydobywane z dna pamięci.

Miasta wielkie, step, bory szumiące i twarze ludzi — coraz jednak straszniejsze.

Już był na dole i trzymał się framugi drzwi, gdy nagle siły go opuściły i usiadł na progu, a głowa opadła mu na piersi. I w tej pozycji najzwyczajniej w świecie zasnął.

Nie mógł więc widzieć sceny, jaka rozegrała się przy nim w chwilę później. Wzrok przywykły do ciemności rozróżniłby z pewnością czarną sylwetkę człowieka, który wyszedł zza węgła i stąpając na palcach posunął się ku śpiącemu. Potem nachylił się nad nim — jakby sprawdzając kogo ma przed sobą, a następnie szarpnął ręką, wydobywając jakiś przedmiot zza pasa. Mogła to być rękojeść sztyletu... W tejże jednak chwili inny jakiś kształt wyrósł obok intruza i z okrzykiem: „Na pohybel czortowemu synowi” — ciął na odlew szablą. Pierwszy z cieni nawet nie zdążył wydać okrzyku strachu, kiedy zwałił się jak wór mąki do stóp śpiącego komisarza.

— Waszmość nie ranny? Świadomy waszmość? Och, psie syny, otruli albo uśpili komisarza!... Larum! Larum! Sam tu warta! Bywaaaj! — rozdarł się z całą mocą swych płuc Kozak, bo on to był tajemniczym obrońcą Stuwego.

Rozległy się wołania, tupot nóg. Z komnaty komendanta wybiegł z latarnią w dłoni chorąży Zareba. Pytał, co się stało. Kozak obrzucił go stekiem przekleństw i kazał budzić cały fort. Komisarza otruto, a teraz ktoś chciał go zamordować — oto co się stało!

— Szczo z toboju, pane, szczo z toboju? — gadał znów Symeon, ciągnąc Stuwego na łóżko do oficerskiego pokoju i niemal łkając. Zjawily się nowe latarnie. Zareba przyłożył ucho do piersi komisarza.

— Dzięki Bogu, żyw. Tylko uśpion.

— Driakiew mu znaczysia zadali, czortowe syny. A wasz pan, Janicz?

— Chory. Podejmować was, panów oficerów, miała w imieniu domu panna Krystyna.

— To i ona teper, kak nasz pan komisar — spit kak angelica — wyrzucił z siebie Kozak, mieszając słowa polskie i ukraińskie. Stwierdzenie, że dowódca jego żyje i nie jest ranny, poprawiło mu jednak humor. Zaczaił się tu, pewny, że noc ożywi upiory. Nie omylił się. Gdyby go tu nie było, komisarz królewski już by nie żył. On ten zamach przewidział.

Przed domem zapłonęły w rękach żołnierzy pochodnie. Stanęli kołem, milczeli i spoglądali na leżący u ich stóp kształt, który niedawno jeszcze był człowiekiem. Za Kozakiem wysunął się z komnaty Zareba.

— Jezus, Maria, toż to Alojz Paszkę!

— Ten, który tamtej nocy wartę trzymał, gdy jego druha zabili?

— Ten sam.

— Szukał pan Janicz zdrajcy, tak i ma zdrajcę. Żyje jeszcze?

Zaręba nachylił się nad ciałem, potem wyprostował się.

— Gdzie tam żyje, łeb mu waszmość rozwaliłeś aż do nosa. Piękne cięcie. Kawaleryjskie.

— Szkoda. Warto byłoby go ogniem żywym przypiec, żeby nam wszystko wyśpiewał, a potem dla przykładu na pal wbić.

— Tu nie Dzikie Pola, mości oficerze. I prawa tu inne... — zareplikował Zaręba.

— A szkoda, szkoda, że tu nie Dzikie Pola i że prawa inne — odciął się Kozak.

Przed komnatą pogrążonego w głębokim śnie komisarza postawiono na resztę nocy wartę. Komendant Janicz, choć słaby i zbolały, na własnych rękach zaniósł do łóżka Krystę i został przy niej, mamrocząc coś w rodzaju „taki wstyd, taki wstyd”, choć tu nie wstyd szło przecież.

Jeszcze tej nocy Kozak i chorąży udali się do karczmy, zbudzili gospodarza, a gdy otworzył, Zaręba dal mu na odlew w twarz, waląc na ziemię. Zbiegła zaraz żona karczmarza, której Kozak sztych szabli do gardła przyłożył i nakazał mówić całą prawdę.

Jąkając się wyznali oboje, że gościem był tu u nich na jeden dzień niejaki pan Storch, poddany elektorski z Królewca. Mówił, że zainteresowanie opuszczonymi warsztatami okrętowymi go tu sprowadziło, bo elektor rad by miejscowe warsztaty ożywić. Z panem starostą Działyńskim o tej rzeczy już miał rozmawiać, więc z Janiczem nie było potrzeby. Przybył morzem. Na jakim okręcie? Tego nie wiedzieli. Spoktał się z nim Alojz Paszkę, a był z nim jakiś pachoł, który luzaka dla pana Storcha przyprowadził, aż pono z Pucka. Może od starosty? Wczoraj odjechali do Pucka, kto ich wie czy nie do samego wojewody JW Pana Weyhera.

Polewka zawierała leczniczą driakiew dla pana komendanta Janicza i miała rzeczywiście sen sprowadzić, aby ulżyć jego bólom. O żadnej zbrodni nie wiedzieli i — jak uważał Zaręba — można w to uwierzyć, bo ryzyko było za wielkie, aby ręce w krwawej robocie brudzić. Ale winna polewka na driakwi — to nie był przypadek. Ktoś im zalecił całą kompanię oficerską w fortecy uśpić. Kto? Gdy Kozak połechtął ostrzem szabli pośladek karczmarza, aż krew trysnęła, karczmarz wymienił nazwisko poddanego elektorskiego, pana Storcha.

9. WRAK „ANDROMEDY”

Komisarz królewski Bernard Stuwe obudził się z potężnym bólem głowy, ale powoli — w miarę jak wracała świadomość, ból ustępował. Gdy wstał wreszcie i wyszedł przed dom, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, ból zupełnie zniknął.

Przed domem zobaczył dwa wierzchowce gotowe do drogi i uwiązane do słupka przy schodach na piętro. Obok stał z arkebuzem żołnierz, który pozdrowił komisarza królewskiego, po czym zawołał chorążego. Ten zjawił się natychmiast, przeprasząc oficera za wszystko, co zdarzyło się tej nocy. A co się zdarzyło? Powoli wróciła Stuwemu świadomość wieczoru. Na czym to ich rozmowa z Krystą skończyła się — nie pamiętał.

Te obrazy z ubiegłego wieczoru uzupełnił dalszą relacją Zaręba. Zatruta polewka winna, potem napad, sukurs kozackiej szabli, wizyta w karczmie, wyznanie karczmarza...

— Mamy więc już dwie nici: ubitego zdrajcę w forcie i tajemniczego pana Storcha — podsumował tę relację komisarz. — A panna Krystyna czuje się dobrze?

— Jeszcze śpi.

— Pozdrówcie ją ode mnie i polećcie nie frasować się z powodu tego wczorajszego zdarzenia. Naprawimy to przy następnej wieczerzy, do której — uprzedzić o tym nie omieszkaj asan komendanta — sam się zapraszam. I może być znów polewka winna,

Chorąży, który oczekiwał najgorszego, zamilkł, myśląc z początku, że komisarz królewski żartuje, ale zaraz po żartach nastąpi wybuch gniewu. Wybuch gniewu jednak nie nastąpił, a Stuwe jeszcze raz powtórzył życzenie spotkania Krysty i Janicza na

kolacji. Pytał następnie o zdrowie komendanta i kazał nie budzić go, skoro zasnął biedaczyna dopiero nad ranem, znużony czuwaniem nad łóżkiem córki. A Kozak?

— Ech, waszmość panie komisarzu, dopiero dziś przestałem żałować, że się w tę podróż wypuścił. Coś się wreszcie dzieje — odezwał się spoza jego pleców Symeon.

— Wyspany jesteś?

— Jak sokół!

— Nie wiem, czy sokoły bywają wyspane po nocnym polowaniu, ale porównanie to narzuca myśl, że skrzydeł dostałeś, mości oficerze.

— Zgadłeś, waszmość panie komisarzu. Rankiem już zarządziłem okulbaczenie koni. A śniadać będziemy po drodze.

— Po drodze — to znaczy gdzie?

— Gdzieżby indziej, jeżeli nie u tych karczmarzy, którzy wczoraj waszmość pana zatrutą polewką winną uraczyli? Tutejsze obyczaje takie, że na pal ich na pewno nie wbijają, więc chociaż niech naprawią zło — dogadzając waszmość panu. Obaczysz, jak nas podejmą!

I rzeczywiście — śniadanie było obfite i smaczne, a para gospodarzy prześcigała się w uprzejmościach wobec obu oficerów.

— Gdyby to były Dzikie Pola — mruknął Kozak nachylony nad cynową miską — ciała tej pary jeżeli nie sterczałyby na palach, to kołysałyby się już na gałęziach drzew, a ucztę mieliby z nich ptacy stepowi. Miętko tutejsi ludzie do zbójów zwyczajni podchodzić.

— Ba, ale gdyby tak się stało, jak bywa na Dzikich Polach, wówczas para gości, czyli my obaj, nie pałaszowałyby tak smacznego jadła — odpowiedział Stuwe.

— Podoba mi się wszystko, co waszmość mówisz, Przypadłeś mi do serca, choć ja młodszy wiekiem i stopniem, a i ród mój wywodzi się z czarnomorskich i stepowych piratów.

— Od strony ojca — odparł Stuwe — mój ród wywodzi się także z piratów, tyle, że nie z nad Czarnego Morza, ale Morza Północnego. Byli to Bracia Witalijscy, którzy hanzeatyckie statki chwyтали i którzy no Bałtyku także siali postrach. A jeśli chodzi o matkę, to jej polscy przodkowie prezentowali typowe czupryny szlacheckie, lubili popić i potaćnować — w karczmie u Żyda, na weselu, ale najchętniej na polu bitewnym. Stryj, ze strony matki, poległ od Turków z łuku ustrzelon. A jedna z moich babek w jasyrze przepadła. Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale czas, abyś się o tym dowiedział.

— Piękny rodowód waszmości! Ruszamy?

— Ruszamy. Na krótki popas zatrzymamy się w Wielkiej Wsi. Potem okolica ma być dzika i mniej przystępna.

— Wiedzieli piraci, gdzie „Andromedę” zwabić.

— Chyba wiedzieli.

Wiał wiatr od Zatoki, ale niezbyt silny. Chwilami nawet spoza chmur przebijało słońce, malując wówczas zsiniałe wody Małego Morza jaskrawym błękitem, odbijającym wyraźnie od złotych piasków plaż. Potem

plaż nie stało, pojawiły się szuwary pełne dzikiego ptactwa, jakoby to nie był morski brzeg, ale jakieś zapomniane, skryte jeziorko. Po drugiej stronie półwyspu pieniało się groźne, otwarte morze.

W Wielkiej Wsi odpoczęli i coś przekąsili. Spieszyli się, aby na nocleg trafić do poleconego im zajazdu „U Wesołego Młynarza”. Rozpytywali o sołtysa sztrađowego Mikołaja, zwanego Krzywym, czy też „Krziwym” — jak to przezwisko tutejsi wymawiali. Nie było go jednak — znajdować się miał „na sztrađzie”, czyli strażował na

brzegu. Pojechali dalej, a około Karwi wstąpili na tereny zupełnie dzikie i puste. Brzeg morski był tu stromy, z płaską plażą u stóp urwiska, pełną kolorowych kamyków. Zjechali jakimś parowem ku morzu, pragnąc tą drogą dotrzeć do wraku.

Niedaleko od parowu natknęli się rzeczywiście na szczątki zagłowca. Musiał to być solidny kupiecki statek, a obszerne ładownie świadczyły najlepiej, ile towarów mieściło kiedyś to wnętrze.

Zsiedli z koni i prowadząc je za uzdę, zbliżyli się do sterty połamanych pokładów, wręg i masztów, omotanych siecią lin i drabinek sznurowych. Nie trzeba było być specjalistą, aby odgadnąć całą tragedię. Statek musiał wdrzeć się gnany wiatrem na plażę, aby tam z hukiem pęknąć w środku kadłuba. Walące się maszty, spadające reje i pękające wanty dopełniły obrazu katastrofy.

Ale mimo to spośród załogi i pasażerów mogło wielu ocaleć — co się więc z nimi stało? Tyle już deszczów przeszło nad wrakiem, że zmyły one ślady krwi z plaży i pokładów, jeżeli tu istotnie krew popłynęła. Nie sposób było także znaleźć śladów walki — ani broni, ani miejsc w które trafiły kule lub gdzie cięto burty toporami. Nie leżał nigdzie hak abordażowy, kordelas, czy sztylet. Znalezli wprawdzie ślady kilku ognisk, ale wątpliwe, czy jedno z nich miało być ogniskiem udającym helską blizę — jak sugerowano.

Przystanęli i popatrzyli na siebie.

— Dziwne mi myśli po głowie chodzą, Symeon — odezwał się oficer.

— I mnie również.

— Wsiadajmy więc i jedźmy do tego „Wesołego Młynarza”. Po drodze pogawędzimy.

Tym samym parowem, którym zjechali na plażę, wwindowali się na skarpe. Minęli gęsty sosnowy las i odnaleźli ścieżkę ze śladami kolein. Byli na dobrej drodze. Po-

tem spotkali jakiegoś człowieka, który wytłumaczył im, jak mają jechać, aby ominąć bagna. Oberża miała znajdować się nie opodal granicy posiadłości Krokowskich, przy drodze do Pucka. Dymy z kominów chat wiejskich, widoczne z prawej, świadczyć miały, że mijają właśnie holenderską wieś, położoną na tutejszych błotach.

— Pierwsze do ustalenia: czy żołnierze z Władysławowa praktykowałiby piracki proceder na takim pustkowiu jak to, mając do dyspozycji co najwyżej dwa wierzchowce, które nas obecnie niosą i chabety karczmarza?

— To zupełnie nie wchodzi w rachubę. Kto obejrzy tamtych ludzi w forcie i sam fort, kto przebędzie tę drogę, a potem zobaczy wrak, wykluczy taką możliwość. Jeżeli ktoś sprowadził ten statek na brzeg, to chyba byli to miejscowi. Może u tych Holendrów zapytać? Waszmość zna przecież holenderski.

— Powiedziałeś, Symeonie: „Jeżeli ktoś sprowadził ten statek na brzeg”. Co przez to rozumiesz?

— Chyba to samo, co waszmość. W moim przekonaniu — ten, kto stał tam przy sterze, wiedział dobrze, że statek płynie kursem na ląd. Wiatr był dość silny, ale bez szkwałów, bez niespodzianek. Gdyby powiał szkwał, nie zostałby ze statku taki wrak jak obecnie, ale szczątki rozmyłoby morze na milę długości wzdłuż brzegu.

— Mam to samo odczucie. Ten statek był już próżny, gdy płynął ku brzegowi. I nie miał już załogi. Był jeszcze ktoś, kto trwał przy sterze, może jeszcze dwóch, trzech ludzi, którym dobrze zapłacono, aby strzegli brasów, ale i bez nich mogło się obyć. Z wiatrem, pod pełnymi żaglami statek ten zmierzał ku brzegowi, aby tam się rozbić i rzucić cień na okoliczną ludność, którą łatwo było oskarżyć o grabież wraka, a nawet — jak to się stało — o celowe spowodowanie katastrofy.

— A więc „Andromedę” mogli po prostu splądrować piraci na morzu. To oni wymordowali załogę i posłali ją na dno morza z ciężarkami u stóp lub u szyi, aby ślad wszelki gwałtu zaginął. To oni potem wprowadzili ograbiony statek na brzeg.

— Ale czy było tak?

— A czy mogło być inaczej?

Zmierzch już zapadał, gdy obaj oficerowie zbliżyli się do samotnego wiatraka, obok którego znajdowała się oberża „U Wesołego Młynarza”. Pejzaż był ponury i straszny. Ramiona wiatraka — szkieletowe, aby nie mogły się obracać. Nie było więc z pewnością ziarna do mielenia. Oberża była piętrowa, dość obszerna, z gankiem i przybudówką, w której znajdowały się zapewne stajnie, obora i chlewy. Niewielki składzik na zboże i mąkę, o wysokim, spadzistym dachu stał na osobności.

— Nic tu wesołości nie zapowiada — mruknął Stuwe.

— Nastrój jak na cmentarzu... — przywodził mu Symeon. — Gdyby zamiast oberży leżał wrak „Andromedy”, wcale bym się nie zdziwił.

Noc zapadała szybko, a pomagały jej w tym bure obłoki, które przesłoniły zachodzące słońce, gasząc ostatnie kolory dnia.

— Za chwilę znikną zarośla, droga wyjdzie z parowu i tamci w oberży, jeżeli wyglądają teraz przez okno, upewnią się, że dwa poruszające się krzaki, które od dawna zwracały ich uwagę, to jednak jeźdźcy.

— Mówisz o nas?

— Jakżeby inaczej?

— I wierzysz, że ktoś patrzy w oberży przez okna?

— Wątpię, ale gdyby...

— Pamiętaj więc: jesteśmy w ordynansie pana Weyhera i podążamy ku fortecy Władysławowo — upomniał Stuwe.

— A skąd jedziemy, jeśli wolno spytać, mości komisarzu?

— Z tego nowego miasta, które wojewoda Weyher buduje. Z Weyherowa — bo takie miano mu przypisują. Zresztą — kto może nas tam indagować? Będą zadowoleni, że mają na noc oficerów i zarobią trochę grosza.

— A jeśliby ktoś tam akurat nocował, ktoś od Weyhera?

— Byłby to cudowny przypadek.

Zbliżali się wolno i w miarę zapadania nocy, zespół budynków, łącznie z nieruchomym wiatrakiem, nie tracił cech niesamowitych, nawet zyskiwał.

— Bywają tu zapewne zajazdy, których goście nigdy już nie budzą się ze snu... — bąknął jeszcze Kozak.

— Pistolety masz opatrzone?

— Jak należy. Siedzą w olstrach, ale mogę je przełożyć za pas.

Podjechali pod dom i dostrzegli w dwóch oknach odblask świecy. Drzwi wejściowe były zamknięte. '

— Hej, jest tam kto? — huknął Stuwe i pytanie swoje wzmocnił kołataniem ręką jeśi rapieru w bramę.

Jakiś czas panowała cisza. Kto wie, czy w tym czasie czyjeś oczy nie penetrowały spoza okiennic placu przed oberżą — ale w zapadającym mroku nie mogły wiele zobaczyć. Po chwili z głębi domu rozległ się zachrypnięty głos męski:

— A skąd Bóg prowadzi? Czego chcecie?

— Noclegu szukamy. Jutro świtem ruszamy dalej.

— Wiele was?

— Dwóch oficerów od pana Weyhera.

— Zaraz otwieram...

Istotnie — rozległ się następnie zgrzyt zamka, pisk zawiasów i łomot odstawianej na bok belki, służącej jako . podpora drzwi. Na progu ukazał się osobnik zwałisty, ponury, jakby żywe zaprzeczenie nazwy zajazdu. Trzymał w lewej dłoni latarnię i podnosząc ją w górę, równocześnie podejrzliwie przyglądał się przyjezdnym. Po tych oględzinach zrobił jeszcze jeden krok do przodu, rozejrzał się na prawo i lewo i jakby udobruchany, że nikogo więcej nie widać, gościnnym gestem zaprosił obu podróżnych do wnętrza.

— Jadła gorącego już jednak nie będzie. Komin wygaszony... — zamamrotał w tonie usprawiedliwienia,

— A zimnego nic się nie znajdzie?

— Może kawałek pieczeni...

— Dobrze i to. A do pieczeni może być gąsiorek wina, co? — zapytał Kozak.

— Coś znajdę. A teraz zostawcie panowie konie i chodźcie za mną...

— Pozwól, że sami rozkulbaczymy konie. Gdzie stajnia? — spytał komisarz.

— Proszę, wasza miłość, za mną. Zaraz zaprowadzę,

Zeskoczyli z siodeł i wówczas gospodarz zauważył

strój kozackiego oficera. Przyjrzał się bacznie Zaporozcowi, ale o nic nie pytał. W stajni znaleźli dwa konie gospodarskie i dwa wierzchowce.

— Twoje to, czy gościnne?

— Dwóch ichmościów, którzy do Wielkiej Wsi jeździli, nocuje w zajeździe.

— Co za panowie? — spytał ostro Stuwe.

— Nie wiem, wasza miłość. Pewnie od pana starosty Działyńskiego. O sprawy pańskie nie pytam. Nie przystoi.

— A po co do Wielkiej Wsi jeździli?

— Najlepiej rano ich o to zapytać. Pewnie waszmościowie spotkają się z nimi przy śniadaniu.

Rozkubaczyli konie, przetarli ich grzbiety słomą i przypilnowali, żeby oberżysta dał obroku. Z olster wyciągnęli pistolety i zatknęli za pas, a siodła powiesili. Poszli za gospodarzem do izby jadalnej na parterze, a następnie po spadzistych schodach na piętro. Po drodze właściciel zabrał dla nich trochę mięsiwa na cynowy półmisek oraz gąsior wina i dwa kubki. Zostawiając ich w gościnnej komnacie, życzył dobrej nocy. Świeca jaką pozostawił nie była wysoka i wróżyła, że rychło zapadną i tu ciemności. Kozak zbliżył się do okna, ale przez małe, brudne szybki nie było nic widać. Noc tymczasem zgęstniała już jak smoła.

— Podejrzewasz coś, Symeon? — zagadnął komisarz.

— Wasza miłość — te dwa konie... Widziałem już oba w karczmie, przy fortecy. To na jednym z nich odjechał ów tajemniczy pan Storch. On tu nocuje!...

— Jesteś tego pewien?

— Co do człowieka mógłbym się mylić, ale konia rozpoznam...

— Znaczy — sąsiedztwo mamy niebezpieczne.

— Tamci mają także niezbyt dla nich bezpiecznych sąsiadów — odpowiedział Kozak i zaśmiał się. — Spałby waszmość spokojnie, miarkując, że za ścianą pochrapuje Zaporozec i niezgorszy rębajło kapitan Stuwe, komisarz królewski?

— Miałbym chyba niezbyt spokojne sny.

— Oni je właśnie mieć będą tej nocy, jeżeli naturalnie zasną. Kto wie, jakie są ich plany?

— A ten gąsior, który kazaleś nam podać? Służyć ma nam rzeczywiście do picia, czy też...

— Pewny jestem, że wino tutejsze nie trujące i z chęcią bym go skosztował, ale jeśli wasza miłość powie „nie”, nawet kropli z gąsiora nie uszczknę. A tamci niech myślą, że tacy z nas żołnierze: wypili i poszli spać. Mnie tam tymczasem jeszcze zupełnie nie do spania.

— I mnie oczy się jakoś nie kleją, a myśli awanturnicze pod czaszką figlują. Ty mnie, Kozaku, do tego namawiasz.

— Spróbujemy więc?

— Spróbujemy — odpowiedział komisarz. — Nie wiem jeszcze dokładnie do jakiego grzechu mnie namawiasz, ale spróbujemy. Gdybyż tak za jednym zamachem na jakiś ślad natrafić, który zawiódłby nas i to tajemnicy „Andromedy”, i do upiorów straszących w fortecy króla Władysława? Ale — posłuchaj, Symeon... Słyszysz?

— Jakby tętent..!

— Zgaś świecę. W gospodzie powinni pomyśleć, że oficerowie pułkownika Weyhera zasnęli... Widzisz coś?

— Niewiele. Może uda mi się ostrożnie ramę okienną wysadzić, bo otworzyć nie sposób.

— To wysadzaj!

Zgrzytnęło coś, chrupnęło i chłodny podmuch wtargnął do izby.

— Jeszcze dwóch konnych się zjawia, wasza miłość! — zameldował Kozak.

— Co mówisz? Czekał, może uda się wyrzeć na korytarz... Ha, ponury młynarz nie głupi! Zamknął nas! A co tam na dworze?

— Zatrzymali się i coś do siebie gadają, chyba po niemiecku. Może waszmość zrozumiesz.

Stuwe przysunął się do okna i ostrożnie wyjrzał. Dwaj jeźdźcy stali pod samym domem. Potem nagle jeden z nich zsunął się z siodła i podszedł do drzwi wejściowych. Nie stukał jednak, bo gospodarz zajazdu wyszedł przyjezdnym naprzeciwko. Stuwe bez trudu pojął treść rozmowy.

— O czym gadają? — dopytywał Kozak.

— Gospodarz zameldował po niemiecku, że pan Storch już czeka, ale że są tu jeszcze dwaj oficerowie Weyhera, którzy rano jadą do Władysławowa.

— Znaczy — to o nas mowa?

— Niewątpliwie. Ten przybyły odpowiedział, że to ich nie obchodzi, bo zaraz wracają. Ciekawe też dokąd im tak spieszo?

— I gadają po niemiecku?

— Po niemiecku. Natomiast między sobą... Tak, nie mylę się. Do siebie mówią ci dwaj konni po szwedzku.

Gospodarz zabrał oba wierzchowce przybyłych do stajni, a jego nowi goście wstąpili już do wnętrza domu. Potem karczmarz wrócił, rozejrzał się dookoła, cofnął do środka i zawarł drzwi. Stuwe zaklął. Było niewątpliwie, że natrafili na jakieś ważne spotkanie, ale co im z tego, skoro zostali uwięzieni w gościnnej komnacie?

10. ZAJAZD „U WESOŁEGO MŁYNARZA”

Imć pana komisarza królewskiego i kozackiego oficera czekała nie lada próba odwagi i pomysłowości, mimo że fortuna ułatwiła im spotkanie z ludźmi, którzy być może wiedzieli coś o rozbiciu „Andromedy” i tajemniczych ogniach na Mewiej Rafie.

Z początku mieli obaj zamiar spuścić się choćby na rapciach na dół ku parterowi, ale skoro tamci zawarli szczelnie okiennice — i tak ze dworu nic zobaczyć ani usłyszeć nie było można. Potem uwagę Stuwego zwrócił przewód kominowy — tak obudowany, żeby palenisko na parterze ogrzewało również izbę na piętrze. Ogień w kuchni i kominie izby biesiadnej był wygaszony — nie dostali przecież gorącego jadła na kolację. Czy więc nie dałoby się przez ten komin uszczknąć coś z rozmowy prowadzonej na parterze? Zaczęli oglądać komin i znaleźli otwór zatkany cegłą — być może służący do przeczyszczania przewodu. Z dziury tej, po usunięciu cegły, posypało się trochę sadzy, ale ciąg powietrza wyraźnie świadczył o tym, że na dole jest także otwór.

— Musimy usłyszeć, o czym tamci będą rozmawiać — powiedział zdesperowany Stuwe. — Za wszelką cenę! Nawet gdyby mi ktoś potem powiedzieć miał, że podsłuchiwanie cudzych rozmów niegodne oficera.

— Wojenny fortel, wasza miłość, zawsze godny oficera, a honoru w nim więcej niż u kogoś pieczętującego się dobrym imieniem, ale z poderżniętym gardłem. Z Turkami na Dzikich Polach więcej panu wojować — tam można poznać, co to dobre imię. Z Turkiem można jednego dnia wodę na szable lać, a drugiego dnia ten sam Turek zasztyletuje swego towarzysza, tłumacząc rzecz, że nie jego w tym wina, Allah bowiem tak chciał — wtrącił Kozak, w dość skomplikowany sposób wyrażając to, co i

Stuwe miał chyba na myśli. Oczywiście było, że misja z jaką tu przybyli nakazuje im nadstawić uszu na każdy szept nieprzyjaciela.

A nieprzyjaciel nie szeptał; przez dziurę w przewodzie kominowym doleciał do nich głos wcale donośny.

— Słyszysz, wasza miłość?

— Słyszę.

— Po jakiemu gadają?

— Teraz po szwedzku.

— A co mówią?

— Witają się i prawią nawzajem komplementy. Nie widzieli się dawno. Jeden z nich nosi nazwisko Horn... Tyle zrozumiałem. A ten drugi to zapewne Storch... A teraz cichaj waść, daj dosłyszeć do końca.

Rozmowa prowadzona była w taki sposób, jakby obaj rozmawiający czuli się zupełnie pewnie. Nie było w tym dialogu żadnej konspiracji.

— ...bezpiecznie wylądowałem, zupełnie bezpiecznie — mówił człowiek nazywany Hornem. — Czekają mnie teraz w Lisim Jarze wraz z szalupą, panie Storch. Uzgodnimy, co i jak, a potem czas na mnie. Odwiezie mnie do Lisiego Jaru syn Rudego Klausa. Trzeba przyznać, że udali mu się synowie.

— Ten, który po mnie przyjechał, także rozgarnięty i dobrze pono robi szablą. A konia przywiódł takiego, że pozazdrościć może sam starosta — odpowiedział Storch.

— Wszystko odbyło się bez przygód?

— Bez przygód, choć zataszczyć dzwon z „Andromedy” do fortu nie było sprawą łatwą. Jeden miejscowy mi pomógł — żołnierz Alojz Paszke. No i udało się. Zleciłem temuż człowiekowi, gdyby okoliczności sprzyjały — zgładzenie komisarza królew-

skiego. Mając w forcie trupa komisarza i dzwon z „Andromedy” — już się Janicz nie wykręci sianem... W forcie można dziś całą załogę w pień wyróżnać. Lepszy żołnierz odszedł, a zostali inwalidzi i starcy. Tylko dwaj się liczą — komendant Janicz i chorąży Zaręba.

— Zostawimy ich sądom królewskim. Lepiej z nimi potańcują niż my. A dzwon z „Andromedy” posłuży jako jeszcze jeden dowód na to, że załoga twierdzy to piraci...

— Tak będzie rzeczywiście słuszniej.

— Kiedy Krystę wyciągniecie Janiczowi?

— To zależy od pana, kapitanie Horn,

— Dziś jest środa. Jutro podejść na „Białym Jeleniu” pod Hel — jeżeli wiatr rozkolebie morze, schronię się w porcie.

— Zaryzykujesz, waćpan?

— Jest rozejm z Polską, a gdańszczany także nie mają interesu w psuciu dobrych stosunków ze Szwecją. Już raz przecież na Hel zachodziłem. A wy...

— No, my to co innego. Barkas z Piławy, pod banderą książęcą. Z Królewcem jest mir od dawna — stały i niepodważalny. Jeżeli więc będziecie stać na Helu, postaram się jutrzejszej nocy wszystko załatwić po naszej myśli. Spotkamy się w piątek rankiem — albo około Helu, albo w samym porcie.

— Dużo wasi nurkowie wygrzebali złota z „Rudego Lisa”?

— Będzie tego dwie skrzynie. Tak jak układ opiewał — jedna skrzynia dla Królewca, druga dla Szwecji, choć i tak „Andromeda” wzbogaciła wasze ładownie pod pokładem. Coś tam jeszcze w piaskach Mewiej Rafy zostało, ale tak zagrzebane, że diabeł nie znajdzie.

— Więc wszystko załatwione pomyślnie?

— Z Bożą pomocą załatwione, kapitanie Horn.

— W jaki sposób wraca pan dziś na statek, panie Storch?

— Czekają na mnie miejscowi z batem koło Swarzewa. Ba, żeby oni wiedzieli kogo wiozą i po co tu przyjechałem! Zełgałem, że w komitywie ze starostą jestem, a to wszystkie drzwi otwiera. Odwiozą mnie jeszcze tej nocy na mój królewiecki barkas, zakotwiczony przy Mewiej Rafie.

— A gdyby dziś wieczór fala wzrosła?

— Wejdą wówczas moi na barkasie przez farwater na Mały Wik. Znajdę ich, bo latarnię zapalą. Jest tam znakomity szyper, a i załoga dobra do lin i do kordelasów. Mam trzech nurków z Niderlandów, — to ich dziełem znalezienie ładunku „Rudego Lisa”. Dobrze im za to płacę. Zaraz, jak tylko skończymy rozmowę, odwiezie mnie drugi syn młynarza. A jak pan, kapitanie Horn, trafi na „Białego Jelenia”?

— Kiedy wyjdziemy na szalupie już na morze, zapalimy latarnię. „Biały Jeleń” czeka na wysokości Rozewia. Poszukają nas i podejną ku nam.

— Nie przywiążcie tylko latarni między rogami wołu — odezwał się Storch. — Wtedy na sztrądzie znalazłby się obok „Andromedy” nowy wrak...

Zaśmiali się obaj. Potem zagadał ktoś po niemiecku i zadzwoniły cynowe kubki. Widocznie gospodarz przyniósł jadło.

— Tu masz dla siebie, Klaus, sakiewkę... — powiedział nagle Horn. — Przyda ci się, bo taki młyn, co mąki nie miele, potrzebuje oporządzenia. A twoi synowie spisali się znakomicie. Konie też masz piękne. Tylko pamiętaj — gęba na kłódkę!

— To się wie, jaśnie wielmożny panie. Zawsze tej zasady się trzymamy.

— A gości masz tutaj niewielu, co?

— Ano niewielu, ale zdarzają się. Jeśli nie na nocleg, to na piwo, albo gąsior wina. Teraz na przykład ci dwaj oficerowie Weyhera nocują. Rano jadą dalej, pewnie do Władysławowa.

— Oficerowie? Co za oficerowie? — zaniepokoił się Storch. — Nie słyszałem kiedy przyjechali. Teraz też ich nie słyszać. Co robią?

— Zamówili jadło i gąsior wina. Popili pewnie i teraz śpią. Rzeczywiście — nie słyszać ich. A drzwi ich kamery skobłem podparłem. Nie otworzą...

— Trzeba było nas uprzedzić, Klaus.

— Ciągłe się tu ktoś kręci, panie. Wiadomo — zajazd. A panu kapitanowi meldowałem o nich. Ale nie obawiajmy się niczego wszyscy tu swoi. Nawet sołtys sztraadowy z Wielkiej Wsi — nasz człowiek. Opłacony jak trzeba.

— A to rzeczywiście nasz człowiek. Nawet zeznał należycie, kiedy badano sprawę „Andromedy”. Gdy obędziemy wracać, czekać nas będzie przy rozstajach, żeby wprost do Lisiego Jaru zaprowadzić. Ja tu obcy — drogi po nocy nie znam, a i syn młynarza na tym szlaku niezwykajny. Tak, sporo przy „Andromedzie” sołtys sztraadowy zarobił za milczenie. Ale ty, Klaus, idź jeszcze na górę i posłuchaj pod drzwiami tych oficerów — czy rzeczywiście śpią?..

— Zaraz to zrobię, panie..?

Stuwe oddalił ucho od dziury w przewodzie kominowym i popatrzał na Kozaka.

— I jak, o czym oni gadają?

— Ech Symeonie, Symeonie. Trafiliśmy do gniazda os. Usłyszałem tu straszne rzeczy, ale trzeba przyznać, że cenne dla ras obu. Spać dzisiaj nie będziemy. Broń jeszcze raz sprawdzić trzeba. Ale póki co — spróbuj wydawać dźwięki jak ktoś śpiący i solidnie zamroczony winem. Sprawdzać tu idą pod drzwi, czy już śpimy...

— Zaraz więc usłyszą kozackie chrapanie, a wasza miłość mi chyba zawtóruje tak, jak tam u was, w tej waszej Fryzji chrapią. A potem?

— Potem zaczniemy działać.

Posuwiste kroki na korytarzu i skrzyp desek oznajmiły, że gospodarz zajazdu dotarł na pięterko. Zaczęli więc chrapać na dwa głosy. Podsluchujący musiał odnieść wrażenie, że huk armat jedynie jest zdolny ich zbudzić.

Karczmarz zszedł na dół i słychać było jak melduje przybyszom, że obaj oficerowie nie są groźni.

— Jeżeli pozwolisz, panie, na mnie już czas... — odezwał się jeden z biesiadujących, w głosie którego Stuwe rozpoznał osobnika nazywanego Storchem. — Ja już od dłuższego czasu tu siedzę i jeszcze przed przybyciem pana, kapitanie, zjadłem solidną kolację.

— Jedź więc, panie Storch i niech Bóg strzeże was w drodze.

— Chyba diabeł, a nie Bóg — mruknął do siebie Stuwe. — A może Szwedów strzeże inny Bóg niż naszych?

— Co waszmość mówisz? — spytał Kozak.

— Nic, Symeonie, przeklinam tych psubratów pod nami.

— To dodaj im wasza miłość coś jeszcze ode mnie z Rusi.

— Nie omieszkam..

Człowiek nazywany Hornem dopytywał jeszcze o Krystę — czy ładna i czy we wszystko uwierzyła?

— Uwierzyła. Sygnet jej nawet własny na znak zostawiłem. Czy można się dziwić, że chce zobaczyć swego ojca? A swoją drogą — będzie to ostateczny cios dla Janicza, jeżeli nawet ominie go kara za rabunek „Andromedy”.

— ... której towary spoczywają spokojnie w ładowniach „Białego Jelenia”... — zaśmiał się Horn. — Tak, wszystkie fakty świadczą przeciw niemu. A co do Krysty — to, prawdę mówiąc, na oczy jej nigdy nie widziałem. Matkę miała gładką, rzadkiej urody. Moi rajtarzy przywiedli mi ją z jakiejś tutejszej wioski, a że pułkownik Seaton w Pucku porządku chciał zaprowadzić w garnizonie, bo Polacy nadciągali, ślub z nią katolicki wziąłem — mnie on bowiem nie wiązał. Już wtedy przy nadziei była, ale dalej piękna i nawet jej stanu poznać nie było można. Ale w jakiś czas później, już gdy hetman Koniecpolski Puck szturmował, zległa. Córkę urodziła, a sama, niestety, zmarła. Znalazłem dziecku mamkę-opiekunkę, a w czasie ewakuacji kazałem na „Rudego Lisa” w kolebce marynarskiej wsadzić i do Piławy wywieźć. Na kołderce miała imię „Christa” wyhaftowane... Na moim okręcie nikomu jeszcze o tym nic nie powiedziałem. Prawda wyjaśni się dopiero w Szwecji. I mówisz pan, że ładna?

— Delicje, kapitanie Horn... Sam zresztą pojutrze rano zobaczysz. Bo chyba jednak nocą ją weźmiemy, w dzień byłoby za wiele kłopotu i mógłby trup paść na naszej drodze, a wszelki tumult niepotrzebny!

Słuchający przy otworze kominowym Stuwe, aż ze złości zębami zazgrzytał.

— Cichaj wasza miłość, bo tamci usłyszą! — uciszył go Kozak. — Miarkuję, że o nikczemnych sprawach prawią.

— Zgadłeś, Symeonie. Jeszcze trochę, a krew się tu poleje.

— Czuję przez skórę, że jakieś podłe sprawy załatwiają. Opowiesz mi waszmość, o czym prawią?

— Wszystko, jeno niech zakończą...

Na dole zapanował nagle tumult. Dwaj synowie właściciela zajazdu wpadli do izby biesiadnej, informując, że dwa konie w stajni, należące niby do dwóch oficerów Weyhera, to wierzchowce Janicza i Zaręby. Gospodarz zaklinał się, że nie gości ani

Zaręby, ani Janicza, bo przecież obu zna. Jeden z przybyłych ubrany był z holenderska, a drugi chyba w polskim szlacheckim stroju...

— Nie odróżnia ojciec polskiego stroju od kozackiego. To oficer towarzyszący komisarzowi królewskiemu — zbeształ gospodarza jeden z synów po niemiecku. — A ten drugi to nikt inny tylko sam komisarz.

— Pora nam jechać, ktokolwiek to jest — zdecydował Storch. — Widocznie Alojz Paszke spudłował w fortecy, jeśli komisarz jeszcze żyw.

— Ja też zaraz ruszam — odpowiedział Horn. — Zła nie należy prowokować. Komisarz nie komisarz, Kozak nie Kozak — niech sobie śpią do białego rana. A rano obaj będziemy już daleko.

Stuwe przesunął się ku oknu. Noc była wymarzona do podróży — niebo się wypogodziło i kapało od gwiazd. Wiał lekki wiatr — w sam raz dla operacji u brzegów, obaj więc awanturnicy, którzy zaplanowali tutaj spotkanie, mogli być spokojni o okręty, które na nich czekały — o „Białego Jelenia” dryfującego na trawersie Rozewia nieopodal Lisiego Jaru i o barkas z Prus Książęcych, zakotwiczony w pobliżu miejsca, gdzie zatonał kiedyś szwedzki żaglowiec „Rudy Lis”.

— Dwaj już odjeżdżają... — zauważył Kozak.

— Tak. To pan Storch, który bawił w karczmie koło Władysławowa przed naszym przybyciem, a któremu spieszno teraz na Zatokę.

— A ten, co został?

— To kapitan Horn, który może kończy jeszcze kolację, przyrządzoną na zimno przez Klause.

— Wielu jest ludzi na dole?

— Gospodarz, jego syn i ów Horn. Jak tego Horna dostaniesz, Symeonie, to tak jakbyś rozdeptał gada, ale wolej żywcem go brać należy.

— Ruszamy?

— Ruszamy. Spuścić cię z okna na rapciach?

— Ej że, wasza miłość. Po co tutaj rapcie? Niewysoko — ot, jakby z gałęzi gruszeki zeskoczyć na ziemię. Ja dam radę...

— To ja chyba też. Broń opatrzona?

— Trzeci raz pan o to pytasz. Opatrzona jak należy.

— To skacz pierwszy!

Nie było rzeczywiście wysoko, z tym, że Kozak skoczył wprost z parapetu, a Stuwe zawisł wpierw na rękach, potem odbił się i dopiero skoczył. Zadzźwięczał rapier...

— Hej, a co tam się dzieje? Pan Storch zawrócił? — spytał ktoś po niemiecku od drzwi wejściowych.

— Dam ja ci pana Stor cha! Zaraz cała ta wasza wieża Babel w proch się rozsypie! — mruknął Stuwe, po czym rzucił do Kozaka — Niech broń złożą! Wszyscy! A jeżeli nie zechcą — tnij!

— Wedle rozkazu!

Byli przy drzwiach wejściowych, gdy w ręku stojącego tam człowieka pojawiła się latarnia. Stuwe przyskoczył do niego pierwszy, przykładając tamtemu ostrze rapieru do piersi.

— Milcz i nie imaj się broni, bo zginiesz! — warknął.

Tamten jednak nie posłuchał — cisnął latarnią w atakującego (komisarz królewski ledwie głowę uchylić zdołał), po czym z wrzaskiem cofnął się w głąb domu, próbując zamknąć drzwi. Ale był już tam Kozak — but w szparę wsadził, a potem szablą pchnął w ciemność. Rozległ się krzyk i drzwi ustąpiły.

Stuwe i Symeon znaleźli się w izbie biesiadnej. Plecami oparty o wygasły kominek stał Horn, trzymając w dłoniach szpadę i pistolet. Był to mężczyzna potężny, a choć starszy wiekiem, musiał jeszcze przedstawiać sobą cie byle jaką mocarność. W drugim rogu czaił się gospodarz — Rudy Klaus, uzbrojony w potężnych rozmiarów marynarski kordelas oraz pogrzebacz. Jego syn dzierżył wprawdzie w ręce szpadę, ale drugą miał zakrwawioną od pchnięcia kozackiej szabli. Stuwe jego pierwszego zaatakował, a gdy młodemu poszedł z odsieczą ojciec, wypalił do starego z pistoletu. Nie zabił, ale zranił ciężko tamtego, czyniąc go niezdolnym do walki. Młodemu po trzech skrzyżowaniach broni wytrącił szpadę z ręki i sztych przyłożył do gardła.

W tym momencie Horn wystrzelił do Kozaka, ale Symeon nie pierwszy raz brał udział w takich walkach; osłonił się więc od strzału dębowym stołkiem. Siedzenie stołka pękło i z drewna posypały się wióry, ale Zaporoziec wyszedł tylko z draśnięciem policzka przez jakąś drzazgę. Otarł krew rękawem i teraz już naprawdę rozsierzony, natarł szablą, a umiał krzyżować szablę z rapierem. Hornowi przychodziło to niełatwo, miał natomiast siłę i tę zaczął wykorzystywać, próbując nacierającego zwalić z nóg, aby potem zabić.

— Takiś rycerz, panie Horn, to inaczej z tobą potańcuję! — wykrzyknął Symeon i takiego młyńca wywinął szablą, że rapier podwójnie uderzony odskoczył raz w prawo, drugi raz w lewo, odsłaniając łeb Szweda. Wtedy Kozak ciął straszliwie. Horn tylko jęknął i zwałił się z głową rozplataną jak owoc arbuza. Krew bluznęła z rany, zalewając czerwienią podłogę.

— Siadajcie grzecznie na ławie i śpiewajcie mi tu zaraz, co się święci — rozkazał tymczasem Stuwe swoim jeńcom, którzy widząc śmierć Horna, jakby stracili resztę ochoty do bitki.

— Słuchamy pokornie jaśnie wielmożnego pana... — odpowiedział gospodarz i zajęczał. Kaftan miał zbrukany krwią. — Pozwól panie opatrzeć ranę...

— Zaraz pozwolę, ale wprzód mówcie, coście za jedni? Holendrzy? Danowie? Szwedzi?

— My z Brandenburgii, panie. Niemcy — wyznał młody, uprzedzając starego. — Ojciec razem z Holendrami tu przywędrował, razem z Holendrami, którzy bagna tutejsze osuszają. Stąd u nas mowa niemiecka, a po szwedzku także trochę rozumiemy.

— A ten? — wskazał na powalonego ciosem szabli kozackiej.

— To pan Klas Kristenson Horn, dowódca rajtarów w czasie oblężenia Pucka przez pana hetmana Koniecpolskiego, przed dwudziestu laty. Wtedy go poznałem — wyjaśnił stary. — Teraz dowodzi orlogiem „Biały Jeleń”, ale żeglarz z niego słaby, szypra na pokładzie ma, który z morskim rzemiosłem obeznany. Znaczy — dowodził orlogiem, bo teraz to on już niczym nie dowodzi i dowodzić nie będzie.

— To on obrabował „Andromedę”?

— On, jaśnie wielmożny panie.

— A ludzi?

— Z ciężarami u nóg wytopił. Myśmy niewinni, nie pomagaliśmy w tym, ale wiedzieliśmy. Milczeć jednak musieliśmy — bo śmiercią straszyl.

— A po obrabowaniu skierował „Andromedę” na sztrań, aby podejrzenie padło, że dopiero na brzegu okręt obrabowano?

— Święte słowa jegomości, ale pozwól teraz opatrzyć ranę, bo boli...

Kozak wytarł tymczasem połą płaszczą szablę i podszedł do Stuwego, przysłuchując się jego indagacji.

— Jeszcze trzy pytania i będziecie mogli opatrzyć rany. Pierwsze — towary zrabowane na „Andromedzie” znajdują się obecnie w ładowniach „Białego Jelenia”?

— Tak jest, panie. Tak można przypuszczać, chciałem rzec...

— Czemu więc nie wraca okręt do Szwecji razem z pirackimi łupami?

— W Szwecji pan Horn siedział w twierdzy za poddanie Pucka, a kiedy wyszedł, obiecał odzyskać skarby, które przed dwudziestu laty wysłał na pokładzie „Rudego Lisa” z oblężonego przez Polaków miasta. „Rudy Lis” „zatonął wtedy na Mewiej Raffie, a skarby poszły na dno. Na koszt pana Horna wydobyciem zatopionych skarbów zajął się pan Storch, poddany elektorski z Królewca. Jego barkas cumuje ponoć na Helu, a w spokojne noce płynie w miejsce zatopienia skarbów i spuszcza dzwon nurkowy. Jego niderlandzcy nurkowie wygrzebali już z piasku większą część zatopionych skarbów. Teraz miał przekazać to Hornowi, a Horn wrócić z tym do Szwecji.

— Jakie to skarby?

— Pan Horn ze swoimi rajtarami wiele wsi spustoszył, wiele kościołów, nawet w Swarzewie...

— A w Szwecji o tym wiedzą?

— To już piąte pytanie, łaskawy panie, a ze mnie krew uchodzi. W Szwecji o tym nie wiedzą. To pewne. Ale jak pan Horn wróciłby ze skarbem, mógłby odzyskać więcej niż stracił.

— Musiał w tym celu pirackiego jąć się rzemiosła?...

— Pozwól panie, że opatrzę ojca... — wtrącił się młodzieniec. — Wykrwawi się przy dalszej indagacji na śmierć, a ja także ranny.

— Dobrze. Ale potem mieć będę jeszcze kilka pytań także do ciebie. A ty, Symeon, wyprowadź w tym czasie nasze konie, a wierzchowce tych zbójów pognaj w pole. Nim je odnajdą, będziemy daleko.

Kozak zniknął, a Stuwe podszedł do zwłok Horna, leżących w miejscu, gdzie cios kozackiej szabli zwałił Szweda z nóg.

— No i widzisz, pirackie nasienie, co wart wszelki rozbój? A ty jeszcze dobre imię polskiego strażnika morza, imć pana Janicza, chciałeś zbrukać! — wypowiedział pod adresem nieboszczyka. Potem odwrócił się i ciężko usiadł na ławie.

Syn gospodarza wyszedł z izby i wrócił po chwili z bandażami, chyba zrobionymi z rozdartego prześcieradła. Stary Klaus położył się na ławie, a młody przyklęknął i jął opatrywać mu ranę, polewając okowitą. Stary syczał i jęczał — nie wiadomo, czy rzeczywiście z bólu, czy teatrum wobec komisarza królewskiego odgrywając.

— Miarkuj, wasza miłość! Głowa pod stół!

To krzyknął od drzwi Kozak. Zaraz po tym okrzyku rozległ się ogłuszający huk garłacza i siekańce rozsypały się po całej ścianie, tłukąc butelki i dzwoniąc po cynowych misach i kubkach. Po okrzyku Kozaka, Stuwe natychmiast skłonił głowę pod stół. W ten sposób uszedł nie tylko z życiem, ale nawet bez zadrapania. Po strzale jednak zerwał się z miejsca, aby zobaczyć jeszcze dymiący wylot garłacza, trzymanego przez rzekomo ciężko rannego gospodarza. Widocznie broń przyniósł mu pod kurtą, razem z bandażami, sprytny syn.

Kula z pistoletu Symeona rozwalila czaszkę Rudego Klause w tym samym czasie, gdy Stuwe natarł z rapierem na młodego zbója. Walka to była krótka i wkrótce syn legł z przeszytym gardłem obok ojca.

Nie było czasu do stracenia. Stuwe z Kozakiem wybiegli z zajazdu „U Wesołego Młynarza” i wskoczyli na konie.

— Dokąd teraz? — spytał Zaporozec.

— Do Lisiego Jaru, ale po drodze zgarniemy jeszcze sołtysa sztrađowego z Wielkiej Wsi — Mikołaja Krzywego!...

— Będzie nas oczekiwał?

— Będzie wypatrywał Horna i synalka tego starego zbója z zajazdu. Ale nim rozpozna swoją pomyłkę, już będziemy go mieli. A wtedy... wtedy zaprowadzi nas do załogi szwedzkiej szalupy, czekającej w Lisim Jarze na swego dowódcę...

— A potem?

— Spróbujemy odzyskać ładunek „Andromedy”.

11. OMYŁKA SZYPRACHRYSTENSENA

Szyper „Białego Jelenia” Ove Christensen miał nieoficjalne pozwolenie wysoko postawionych osób na dworze, pomóc kapitanowi Hornowi w odzyskaniu skarbu, zatopionego na Mewiej Rafie. O zdobyciu holenderskiego żaglowca handlowego nie było oczywiście mowy, sprawa ta wynikła bowiem dopiero w kontaktach, jakie Horn odnowił z właścicielem zajazdu „U Wesołego Młynarza” — Rudym Klausem. Za pośrednictwem osad holenderskich na Karwieńskich Błotach i Kniewskich Błotach, wywiedziano się, co będzie wiozła „Andromeda”, ile mieć będzie ludzi załogi i jak będzie uzbrojona. Na jej pokładzie płynęli przyjaciele Klausem, którzy sparaliżować mieli wszelki manewr, a także uniemożliwić obronę. Napad udał się, a następnie — dzięki pomysłowi Storcha — obrabowany i pozbawiony załogi statek skierowano na brzeg, wszystko tak przysposabiając, aby wyglądało, że żaglowiec został obrabowany dopiero po rozbiciu.

Podjęcie rzucone na załogę twierdzy Władysławowo było majstersztykiem intrygi, ale sytuacja sprzyjała ugruntowaniu tego podejrzenia. Teraz należało zabrać jeszcze skarb wydobyty przez ekipę nurków niderlandzkich na Mewiej Rafie i skierować się do domu, do Szwecji. Ekspedycję Storcha na Mewią Rafę finansował Horn, była ona półlegalna i dlatego pracowano jedynie w nocy, a ze względu na niebezpieczeństwo rozbicia na rafie — jedynie w nocie pogodnej. Ale była ona kosztowna — i stąd wypłynął projekt obrabowania „Andromedy”. Na początku chodziło głównie o zatarcie tej plamy, jaką uczyniła na imieniu Horna kapitulacja garnizonu szwedzkiego w Pucku. Zarówno on, jak i główny dowódca szwedzki, pułkownik Jakub Seaton, popadli po tej kapitulacji w niełaskę i z polecenia króla Gustawa Adolfa byli sądzeni za

tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela. A przecież stawiali czoła wojskom hetmana Koniecpolskiego przez długie miesiące...

Teraz miało to się wszystko odwrócić na dobre. Horn, bazując nie tylko na odzyskanych częściowo skarbach, ale i na bogactwie pochodzącym z rabunku „Andromedy”, planował swój udział w kompanii handlowej na amerykańskim wybrzeżu.

Tak więc operacja, w której zdecydował się uczestniczyć Ove Christensen była dość niebezpieczna — piracki napad na „Andromedę” i zakończenie go tak, aby podejrzanie padło na załogę polskiej fortecy, odzyskanie wojskowych łupów puckiej załogi zatopionych na Mewiej Rafie, a wreszcie uprowadzenie przybranej córki Janicza, dziewczyny zrodzonej z „wojennego małżeństwa” Horna z branką z polskiej wsi.

Grały tu na pewno rolę osobiste ambicje Horna, który zaprzysiągł sobie zniszczenie komendanta Władysławowa, jakby nie dość mu było, że jego rajtarzy spalili dom Janicza w czasie puckiej kampanii oraz wymordowali mu rodzinę. Podobno był jeszcze jakiś incydent w tej kampanii, o którym Horn nie chciał mówić, ale o którym przebąkiwali żołnierze. Pod Puckiem Horn miał wpaść w ręce Janicza, gdy biwakował w jakiejś chacie i wówczas Polak kazał chłopom pognać kijami obcego żołnierza tylko w samej koszuli, na pośmiewisko wsi. Zdaniem Christensena, Horn mógł Bogu dziękować, że Janicz nie kazał go na miejscu powiesić, bo miał takie prawo. Rajtarzy Horna dopuszczali się bowiem naokoło gwałtów. Zresztą, kto to wie — gdyby Janicz wiedział kogo wyciąga z betów, może postąpiłby inaczej, ale wziął Horna za szeregowca, kazał mu więc dać nauczkę.

Ove Christensen był na „Białym Jeleniu” człowiekiem odpowiedzialnym za kierowanie orlogiem, ale rzeczywistym dowódcą był tu kawalerzysta Klas Kristenson Horn — i on tu rozkazywał. Obecnie szyper Ove oczekiwał na swojego dowódcę, nie wiedząc oczywiście nic o tym, co zdarzyło się w zajeździe „U Wesołego Młynarza”. Stał na pokładzie rufowego kasztelu, przy nie zapalanej do tej pory latarni, obok drzewca rufowej bandery, na którym nie powiewał żaden znak i żuł liście tytoniu.

Była to noc wyjątkowa, jak na tę porę roku, jak na to chybotliwe zawsze morze i to zdradliwe miejsce — przylądek Rozewie. Lekka bryza znosiła żaglowiec na wschód, co raczej było po myśli szypra, który nie lubił wybrzeży na zachód od Rozewia, przypominały mu bowiem napad na „Andromedę”. Gdyby rzecz ta się wydała, nawet dobre stosunki jakie obecnie Horn miał na dworze nie ochroniłyby go ani Christensena przed szubienicą. Jak najprędzej należało oddalić się od polskich wybrzeży i zamknąć ten rozdział życia — godny raczej piratów Morza Karaibskiego, nie „cywilizowanych” wód mórz europejskich, gdzie takie rzezie, jak ta — na pokładzie „Andromedy” — miały prawo zdarzać się jedynie w imieniu jakiegoś króla, a nie zwykłego szypra, czy kapitana rajtarów. Poza tym prądy wzdłuż brzegów były na zachodzie niebezpieczne i spychały dryfujące żaglowce w stronę klifowego cypla Rozewia. Na wschód od przylądka, dryf — jeżeli tylko nie przebiegał za blisko brzegu, nie był groźny. Płynęło się wówczas wzdłuż kosi Helu, aż do świecącej nocą morskiej blizy. Ogień latarni helskiej widoczny był daleko i tylko bardzo zły szyper mógł dać się tam zepchnąć na piaszczysty sztrańd.

Noc była jednak ciemna, bliza helska niewidoczna i Ove rozkazywał co jakiś czas sondowanie głębokością aby fala i wiatr nie zniosły żaglowca za blisko brzegu.

Tak doszło do chwili, gdy marynarz na oku zameldował o pojawieniu się światła na południu. Kolor szkieł i siła światła odpowiadały latarni szalupy, stało się więc jasne, że kapitan Horn wraca. Ove wysłał z nim czterech wioślarzy i sternika, ale ze względu na ewentualny przybój, który mógł znieść szalupę za daleko, umówiono się, że „Biały Jeleń” podpłynie ku szalupie kiedy ta już wyjdzie na morze. Christensen rzucił więc odpowiednie rozkazy i postanowił początkowo podejść na zrefowanych żaglach, potem jednak, przypuszczając, że przybój opóźni ich spotkanie, kazał rozwinać żagiel rejoy pod bukszprytem oraz kliwer i fok, a nawet zmniejszyć refy na fokrei. Bryza wydeła natychmiast płótniska żagli i odległość między okrętem, a latarnią szalupy zmniejszyła się.

— Ahoj na szalupie! Wszystko w porządku? — krzyknął przez tubę Christensen, licząc na to, że wiatr nie porwie jego słów i tamci go usłyszą.

— Ahoj „Biały Jeleń"! Wszystko w porządku, ale przybój nas znosi! — odkrzyknięto z szalupy. — Możecie podpłynąć bliżej?

Christensen nie poznał głosu wołającego, ale też wiatr solidnie zniekształcił słowa. Części Ich musiał się domyślić.

— Uwaga, na szalupie! Zaraz do was dobijemy! Pilnujcie cumy na dziobie!

Nie byli od siebie daleko, ale Christensen doszedł do wniosku, że manewr zaczyna być ryzykowny. Jeżeli tamci odczuwali jeszcze przybój, musieli być blisko brzegu, a tymczasem „Biały Jeleń" ścigał migającą latarnię, jakby gonił błędny ogień na moczarach. Duży żaglowiec nie mógł sobie pozwolić na nocne manewrowanie pod nosem Rozewia. Owe kazał znów zrefo- wać żagiel fokrei, potem zrzucić fok i kliwer. Do światła podszedł więc już nie z takim impetem... Ba, nie z takim impetem, ale wystarczająco szybko, aby dziób i cała lewa burta żaglowca zaryły się w piachu!... Wielki gład na sztrądzie obrócił w drzazgi poszycie części kadłuba. Fokmaszt pękł w połowie i runął na pokład, zrywając wanty i łamiąc relingi. Krzyk targnął powietrzem, krzyk rozpaczny i grozy. Kurczowo uchwycony relingu na rufowym kasztelu, szyper Ove Christensen zdał sobie nagle sprawę, że on, stary wilk morski, został przez kogoś złapany w pułapkę w sposób prosty, niemal naiwny. Latarnia ku której płynął, nie znajdowała się na szalupie płynącej na spotkanie szwedzkiego żaglowca, ale na lądzie, na brzegu morza!...

— No i co, wasza miłość, mogę teraz liczyć na królewską łaskawość? — zapytywał w tym czasie komisarza sołtys sztrądowy Mikołaj Krzywy, trzymający w rękach latarnię, którą zabrał z pokładu szalupy. Sama szalupa leżała dalej do góry dnem w Lisim Jarze, gdzie też siedziało na piasku, z powiązanymi w tyle rękami pięciu Szwedów. Od Rozewia, Cetniewa, Wielkiej Wsi, ba, od samej Jastrzębiej Góry i Karwi biegli już ze wszystkich stron ludzie — licho wie, czy obudzeni trzaskiem pękających

burt i masztów, krzykiem, czy wiedzeni zwykłym instynktem wilka morskiego. Na jednym z okolicznych wzgórz sołtys sztrażowy zapalił teraz stos sygnalizacyjny, a wraz inne zapłonęły na Rozewiu i w Cetniewie, w kościele natomiast w Wielkiej Wsi uderzono w dzwon, który to sygnał przejął zaraz dzwonnik w Swarzewie, a stąd echo poszło do Pucka. Przebudzony z głębokiego snu starosta pucki Jan Działyński, kazał zaprzęgać zaraz kolebę, a oddział dragonów wyjechał z bramy puckiej fortecy, kierując się na północ.

W blasku płonących stosów sygnalnych, szyper Ove Christensen dostrzegł wreszcie zarysy brzegu, a na nim dwóch jeźdźców. Była nadzieja, że nie przyjdzie mu zginąć pod ciosami pałek rybackich. Wiadome bowiem było, że kilka desantów szwedzkich poległo na brzegu zatłuczonych przez miejscową ludność, uzbrojoną w siekiery i pałki.

— Ahoj na łądzie! — krzyknął przez tubę Christensen, ale jego okrzyk zginął w ogólnym tumultcie. Jednocześnie, osiadając twardo na gruncie, kadłub żaglowca nie wytrzymał tak różnego wyważenia ciężaru i pękł z hukiem na dwoje, ukazując swoje wnętrze. Marynarze szwedzcy skakali z burty na piasek plaży, ale dalej nie wiedzieli dokąd uciekać, zbili się więc na łądzie w ciasną, coraz liczniejszą gromadkę.

— Ahoj na brzegu! — powtórzył swoje wołanie szyper Christensen z wysokości kasztelu, będąc pewny, że ktoś tu zna szwedzką mowę, naprowadzał go bowiem przedtem na brzeg.

— Słucham na łądzie! — odkrzyknął Stuwe.

— W czyje ręce popadliśmy? Komu mogę oddać szpadę?...

— Komisarz królewski Bernard Stuwe. Ja was do niewoli jednak nie wezmę — zaraz będą tu ludzie starosty — to ich sprawa. Moja — obronić was przed gniewem tych ludzi. Sąd będzie nad wami sprawiedliwość czynił, a nie gniew!...

W miarę jak to mówił, tumult wśród załogi cichł, choć na statku wciąż coś jeszcze pękało, w węzowych splotach zlatywała zerwana wanta, waliła się z pokładu lufa fal-konetu, gruchocąc relingi i burty. Szwedzcy marynarze przelazili burty i gromadzili się dalej w jednym miejscu. Na koniec zszedł sam Ove Christensen. Opór nie miał sensu — okręt nie był już dla nich twierdzą, a na ziemi tej byli intruzami. Należało rzeczywiście czekać na ludzi starościńskich z Pucka.

— Rzeknij mi tylko jegomość — zwrócił się jeszcze szyper do Stuwego z pyta-niem — co z kapitanem Hornem. Pojmaliście go?

— Horna nie ma już wśród żywych. On rachunek zdaje za swoje poczynania na dnie piekieł.

— A Storch? Nazwisko to nie jest chyba waszmości obce.

— Nie jest mi obce, to prawda. Ze Storchem przyjdzie się nam niedługo spotkać. Fortuna pozwoli, to ani jedna sztuka złota zrabowana przez rajtarów Horna nie wywę-druje stąd na barkasie Storcha. To już koniec całej pirackiej zabawy.

W jakiś czas potem przybyli dragoni z Pucka, a wreszcie nadjechał sam starosta Jan Działyński. Szyper Christensen, aby zaskarbić sobie jego łaskę, ofiarował się do-pilnować wyładunku „Białego Jelenia” i wskazać towary zrabowane na „Androme-dzie”. Starał się również przedstawić siebie, jako ofiarę kapitana Horna, co przycho-dziło mu tym łatwiej, że tamten już nie żył.

Gdy po zbadaniu sprawy, starosta Działyński wraz z częścią dragonów wracali no-cą do Pucka, uwagę ich zwróciła łuna, jaka ukazała się nad horyzontem w połowie drogi. To płonął zajazd „U Wesołego Młynarza”. Ogień pod obejście podłożył drugi syn Rudego Klausa, kiedy powrócił po odwiezieniu pana Storcha nad brzeg Zatoki....

— I tak oto tajemnica „Andromedy” została wyjaśniona... — stwierdził Stu we, gdy dobrze po północy razem z Symeonem zatrzymali się w Wielkiej Wsi, aby do na-dejścia dnia przespać się w rybackich betach. — Gdybyśmy jednak nie doprowadzili

do rozbicia „Białego Jelenia” na brzegu, nikt by nam nie uwierzył, że cała ta historia mogła mieć taki przebieg. Dziwne, nikt nie pomyślał przedtem, że „Andromeda” sztrażować mogła już po jej obrabowaniu, a nie przed.

— Każdy znajduje to, czego szuka — dodał sentencjonalnie Kozak. — Ci, którzy szukali przed nami, chcieli znaleźć dowody przeciwko załodze fortu Władysławowo i przeciw komendantowi tej placówki. Wasza miłość szukał prawdy. Ale czy pomoże ona komendantowi Władysławowa w uzyskaniu pieniędzy dla żołnierzy? Bo to chyba tutaj najważniejsze. -

— Postaramy się, aby pomogła. Nasza misja przecież nie skończona. Jutro w nocy pan Storch będzie usiłował uprowadzić przybraną córkę Janicza, a pojutrze rankiem planował spotkać się z „Białym Jeleniem”.

— A jeżeli go uprzedzą o tym, co się stało?

— Miejmy nadzieję, że do wieczora go jeszcze nie uprzedzą, a jutrzejsza noc powinna zakończyć całą sprawę i przegnać ostatnie widma z Mewiej Rafy. Gdyby go jednak powiadomiono o śmierci Horna, albo sztrażowaniu „Białego Jelenia” będzie jednak mimo wszystko chciał wrócić do fortecy. Zaczekamy tam na niego — zakończył Stuwe. — A teraz czas spać, mości oficerze zaporoski, bo przed nami wiele jeszcze roboty. I niech ci się przyśnią twoje wonne stopy Dzikich Pól.

— Dziękuję. Już w tej chwili czuję ich zapach i słyszę ich szum...

12. DROGA DO WŁADYSŁAWOWA

Zbudzili się późno, rozespani jeszcze, ale wypoczęci. Sołtys Wielkiej Wsi — Antk Czappów Długi (takie to osobliwe miana nosili tutaj rybacy) tłumaczył się, że nie chciał ich budzić — dość się przecie „napracowali po nocy”. Śniadanie rybackie smakowało im bardzo. Sołtys do swojej małżonki mówił tak oryginalną gwara, że nawet sam Stuwe nic z tego nie rozumiał, ale do oficerów odzywał się piękną polszczyzną. Był to człowiek bywały w świecie, a z Działyńskim nawet do Warszawy jeździł, do kanclerza. Indagowany przy śniadaniu, zdradził im, że obecność Kozaka spowodowała tu istotnie wielki niepokój. Sławie kozackich czynów bojowych na Dzikich Polach i Czarnym Morzu, towarzyszyło przekonanie, że gdyby wojsko zaporoskie przyszło nad Bałtyk, w niebezpieczeństwie znalazłyby się nie tylko desantowe oddziały szwedzkie, ale i... córy rybackie. A przecież praca na morzu zmusza rybaków do pozostawiania żon i cór we wsi. Były to lata dość obfite w ryby i na brak „chleba z morza” rybacy narzekać nie mogli. Ale też trzeba było od wiosny do pory mrozów orać morze sieciami, a i zimą wychodzić na lód zamrożonej zatoki i z przeręblów dobywać rybę.

Długi przestrzegał obu oficerów przed zemstą syna Rudego Klaususa, którego dziełem — jak przypuszczał — było spalenie zajazdu. Tu Stuwe musiał głową z podziwu pokiwać — szybko wiadomości roznoszą się po wybrzeżu! Ciekawiło go — czy to on pierwszy wiadomość o sztrądowaniu „Białego Jelenia” do Władysławowa dowiedzie, czy też komendant Janicz będzie już o tym powiadomiony? A co do zemsty syna Rudego Klaususa, to Stuwemu nie wydało się to niebezpieczeństwo groźne. Pewnie noc

spędził ów rzezimieszek w Karwieńskich Błotach, u swoich komilitonów, a dziś gna już konno na zachodnie Pomorze, stamtąd zaś dalej, do ojczystej Brandenburgii.

— Wyście, Długi, przez JW Pana starostę Działyńskiego wybierany, to go pewnie spotkacie. Zdaje się, że udobruchany był plonem, jaki zebrał tej nocy dzięki naszemu fortelowi. Niech więc swą wielkoduszność okaże wobec sołtysa sztrażowego Mikołaja Krzywego, który wprawdzie zdrajcą jest, zaprzedał się bowiem Szwedom, ale część swej winy odkupił, pomagając nam ustrzelić „Białego Jelenia” i tajemnicę „Andromedy” wyjaśnić. Powiedzcie staroście, że ja, komisarz królewski, go proszę, aby wejrzał na to odmienienie Judasza...

— Ba, nic z tego nie będzie, łaskawy panie. Krzywy wisi już na sznurze, niedaleko wraka „Białego Jelenia”. I dobrze się stało. Za piractwo na morzu nie ma zmiłowania, a Krzywy w zмовie z piratami był. Żaden trybunał tego nie odpuszcza.

— No cóż, widać takie wasze prawa, których ja nie mam mocy zmienić.

I tak, kończąc już jadło, Stuwe doszedł do ostatniej sprawy, która — prawdę mówiąc — od początku go gnębiła. Wpierw jednak wybadać chciał, czy znajdzie w sołtysie sprzymierzeńca. Teraz, kiedy już pogawędzili, a w sołtysie odkryli człowieka prawego, oddanego Rzeczypospolitej i dumnego, jak dumni byli rybacy tutejsi, podlegający jedynie Bogu, królowi i maszoperii, Stuwe wyjawiał swą propozycję. Chciał za dobrą zapłatą znaleźć trzech ochotników — śmiałków, którzy nocą zawiedliby go na wiosłowym bacie aż na Mewią Rafę — w ślad za Storchem. A kto wie — może nawet zamiast Storcha. Dalej bowiem przypuszczał, że tej nocy poddany elektorski zjawi się w warowni, aby pannę uprowadzić.

— Żle o tym miejscu mówią — mruknął sołtys, niezbyt zadowolony z oferty oficera królewskiego, która w trudnej sytuacji go stawiała. Nie chciał odmówić, szła bowiem przed i za Stuwem głęda, że „jest to pan, co wiele może, z którym sam król jegomość rozmawiają”, ale bał się zgodzić, nie wiedząc, czy znajdzie ochotników. Do-

pytywał więc, o co chodzi, czego komisarz królewski szukać chce w tak „smętkowym” miejscu, gdzie ukazują się widma zatopionych statków...

— Powiem wam, sołtysie — tej nocy barkas tam będzie z ludźmi, którzy z dna morza podnieśli złoto zrabowane w tutejszych kościołach.

— Kto i kiedy je zrabował?

— Jeszcze przed oblężeniem Pucka przez hetmana Koniecpolskiego, Szwedzi od Seatona i Horna, którzy w Pucku mieli leże, kościoły w Swarzewie i Połczynie ograbili, a w czasie oblężenia morzem złoto chcieli wywieźć.

— To znaczy — rozchodzi się o złoto z „Rudego Lisa”.

— Słyszeliście o tym?

— Słyszeliśmy. Tu nic nie jest długo tajemnicą. Echo niesie na obie strony Zatoki. Pono panna Krysta, którą komendant Janicz jak córkę wychował, na tamtym okręcie płynęła. To szyper Muza z Mechelinek wprowadził „Rudego Lisa” na rafę. Mówiono rzeczywiście wiele o zatopionym złocie, ale nikt go nie szukał. Zresztą — do tego instrumentum odpowiednie potrzebne. Ci na barkasie — pewnie je mieli. I co — naszli skarby?

— Nie jest to pewne, ale ponoć naszli.

— To właśnie ich ognie migotały nocą, kiedy sztil kładł się na Zatokę?

— Ano, ich...

— Patrzcie ludzie, a u nas mówili stale tylko o widmach. Zresztą, kto to wie — mogły raz błyskać ognie na barkasie, a raz diabli latarniami migali...

Sołtys przeżegnał się.

— Strach was obleciał, sołtysie?

— Ech, Długi nawet diabłów się nie boi. Bat przyprowadzę, sam siądę przy sterze. A wioślarzy na taką wyprawę we wsi znajdę. Weźmiemy siekiery i pałki na Szwedów, a wodę święconą na diabłów. Ale jakby co — starostę pierwszego powiadomimy, co tam na barkasie znaleźliśmy, zgoda? On tu przecie gospodarz.

— Tak też myślałem, ale żeby tamtych zaskoczyć nocą, dobrych wioślarzy potrzebuję i dobrego sternika. My obaj w tej szalupie także popłyniemy.

— Ale sami Szwedom rady nie damy. Żołnierze królewscy pomogą?

— Na pewno pomogą, a i tak myślę wziąć tamtych fortelem, aby krwi wiele się nie polało. Pójdziecie z nami, sołtysie?

— Pójdę... Młode lata mi się przypomną. Zresztą przytomny byłem z jakim mirem starosta się do miłościwnego pana odnosił, wiem, że sam król jegomość za waszą miłością stoi... Pójdę z wami, a jak zdradzę moim w jakiej to intencji cała wyprawa, znajdę chętnych. Swoje przecie z rąk tamtych odbieramy. Gdzie się spotkamy?

— Zmierzchaniem stańcie w fosie Władysławowa

— Na międzymorzu?

— Na międzymorzu.

— Fala może nadejść.

— To wciągniecie wtedy szalupę na sztrańd.

— A jak was po ciemnicy poznam?

— Zawołam: „Andromeda”. Takie będzie hasło. I odzew taki sam — odkrzykniecie mi „Andromeda — bywaj”.

— Ale taki bacik ludzi wiele nie weźmie.

— Bo i nie trzeba. Umyśliłem fortel, który powinien nas przywieść na sam pokład barkasa. Nie bójcie się. I żołnierze w odwodzie też będą. A w razie czego — w robieniu toporem, sądzę, zwyczajni jesteście?

— I toporem, i pałąką, i puginałem. A garłacz także w domu trzymam, bo to nigdy nie wiadomo, co się przydarzy. Wziąć z sobą?.

— Pewnie, że wziąć!

— Młode lata mi się przypominają, na Matkę Boską Swarzewską!... Młode lata!... Razem z panem Lanckorońskim Szwedów kiedyś goniliśmy, ich orlog dobywaliśmy. Dawne czasy...

I tak oto zawiązał się sojusz sołtysowy z komisarzem królewskim.

Podjedli solidnie, na kulbakę skoczyli, ściskając jeszcze z koni żyłaste dłonie rybaka. Konie wypoczęte ruszyły z kopyta. Byli już za Wielką Wsią, gdy Stuwe zagadnął Kozaka, czy przytomny jest planu, jaki ułożono z sołtysem.

— O planie jeszcze waszmość słowa nie powiedział, więc milczałem. Tymczasem masz obiecany bat z załogą.

— To już pierwsza część planu. Drugą opracujemy wspólnie z komendantem Janiczem.

— A jeżeli nie zechce się przyłączyć?

— Jak to — „nie zechce”. W takiej sytuacji?

— Zaczynam domyślać się, co waszmość ma na względzie, ale to sprawa nie tak prosta.

— W zajezdzie „U Wesołego Młynarza” też nie mieliśmy prostej sprawy.

— Ale tam nie było białki, a u pana Janicza jest właśnie. Z tego, co już oglądały moje oczy, mogę suponować, że gdy zjawia się panna, zaczynają się kłopoty. A tu mamy w dodatku pannę krasą i na wydaniu. Waszmości nawet ona nieobojętna.

— Co też mówisz, Symeon!

— A mówię, bo widziałem, jak na nią waszmość patrzałeś. Miarkuj tylko, wasza miłość, bo w fortecy jest także grzeczny kawaler i od waszeci młodszy — chorąży Zaręba. I on także oczami za panną wodzi. Może stary komendant nierad byłby pannie takiego kawalera rekomendować, ale na takim pustkowiu z rekuzą by się chyba wstrzymał. Lepszy wróbel w garści — jak to gadają. Nie mówię tego, bo mnie strach obleciał. Ja tam i do piekła pojedę, jeśli trzeba, ale — powtarzam — to nie taka prosta sprawa, żeby sam plan tutaj wystarczył, a panna posłużyła Szwedom czy innym pludrakom za przynętę, bo o to w planie tym chodzi. A jeśli oni zwiedzieli się już, co zdarzyło się dziś w nocy w Lisim Jarze?

— Wątpię. Dryfują pewnie teraz gdzieś około portu na Helu i czekają nocy.

— Dałby Bóg.

— Coś ty, Symeon, taki dziś ponury?

— Nie wiem. Może w snach za bardzo stepami Dzikich Pól mi zapachniało. Kiedy skończymy tę sprawę, do domu ruszam.

— Nowy zagon na Turków lub Tatarów gotować?

— Czarnobrewy nasze mi się śnią — ot co. Białki tu nadobne, na przykład panna Krysta, ale nie dla Kozaka one. Miałem w jednym chutorze Cyganicę, to kiedy odjeżdżałem, sztyletem chciała mnie zabić. Ta tutaj do takich czynów niezdolna. Płakać za ukochanym, tak, pewnie to umieją, ale zabić go, żeby już żadna inna go nie pokochała?

— Miała cię pchnąć, ale cię nie pchnęła.

— Bo w porę się spostrzegłem. Ale gdy zobaczyła, że jestem cały i żywy, a w dodatku śmieję się z jej sztyletu, sama się pchnęła...

— Na śmierć?

— Może i na śmierć...

— Nie ratowałaś jej?

— Pięciu braci miała. Ścigali mnie. Pierwszy cud, że od jej noża nie zginąłem, a drugi — że oni mnie nie dopadli. Tak jak u nas kochają, tak chyba nigdzie. No i step mi pachnie. Wczoraj już nocą mi zapachniał, a dziś znowu. Może to dobra wróżba, a może zła... Nie wiem. Jak step pachnie — trzeba go czym prędzej szukać. Może to serce boli, może głowę gorączka nawiedza i -stąd te omamy... Bo skąd tu zapach stepu, panie Stuwe, skąd?...

— A pójdziemy dziś nocą razem na Szweda?

— To jasne, że pójdziemy. Na Szweda, albo na jego elektorskiego pachółka, pana Storcha. Zobaczymy, kogo tam zastaniemy na barkasie. A odnośnie Krysty — to jak ją ostatecznie mianujesz? Czyja on właściwie córka?

— Horn miał ją z branką z polskiej wsi, którą mu rajtarzy przywiedli. Potem z tą branką wziął ślub, kiedy oblężenie Pucka nadeszło, ale ślub katolicki — dla niego nieważny. Piękna widocznie była i chciał jak najdłużej ją zatrzymać przy sobie. Zmarła przy porodzie. A Krysty — jak sam to wyznał — nawet na oczy nie widział. Po mojemu — większe do niej prawo ma Janicz, ale ostatecznie to jej decyzja ważna — kogo za ojca uzna... Tyle, że Horn już w piekle... i to z naszą pomocą.

— A jeżeli dowie się, że to myśmy zarabiali Horna?

— Trudno, trzeba będzie i to jej wyznać, niczego nie oszczędzić.

Musieli zwolnić, bo od kiedy w czasie słynnych sztormów bałtyckich przed półwiekiem, fale półwysep w kilku miejscach przerwały, była tu błotnista dolina na mię-

dzymorzu. W sztormowe dni nawet teraz większe fale przelewały się tędy z otwartego Bałtyku na Pucki Wik. Ostrożnie mijali właśnie błotne koryto, gdy nagle padł strzał. Chwiejny krok koni i kolebanie się jeźdźców na kulbakacti zmyliły jednak strzelca. Kula zdmuchnęła tylko kapelusz z głowy komisarza królewskiego.

— Galopem, waszmość! Galopem! Tam, wśród sosen widzę jakiegoś pludraka! — krzyknął Kozak, ściągając ostro cugle i następnie wyrrywając z koniem do przodu.

Stuwe ruszył za nim. Teraz i on dostrzegł człowieka wśród sosen i unoszącą się nad nim chmurkę dymu/ Widocznie nie był to przypadkowy napad, bo zamachowiec miał przygotowane dwa nabite' muszkiety. Chciał z nich położyć kolejno obu... Odłożył właśnie pierwszy, z którego oddał tak niefortunny strzał i sięgnął po następny. Kozak szerokim zamachem dobył szabli i podniósł się w strzemionach, aby mieć lepszą pozycję do zadania ciosu. Już Stuwemu wydawało się, że Symeon zdąży dopaść tamtego, ale niestety — przeliczył się. Grunt był tu podmokły, grzaski i koń zwolnił galop. Wtedy tajemniczy przeciwnik strzelił po raz drugi, tym razem jednak ładując kulę wprost w pierś Kozaka. Stuwe jechał tuż za nim, schylił się więc do szyi końskiej i nastawionym sztychem rapieru, niemal jak lancą, przebił gardło napastnikowi. Rapier wszedł tak głęboko, że niewiele brakowało aby oficer postradał swoją broń. Zdążył jednak kawaleryjskim manewrem wywinąć dłoń i pęd konia dopomógł mu wyrwać rapier. Potem ściągnął cugle, dokonał półobrotu i zeskoczył z kulbaki.

Zanim podbiegł do powalonego przeciwnika, rozejrzał się. Nikogo jednak więcej wśród sosen nie dostrzegł. Z wyciągniętym rapierem zbliżył się do padłego wroga, aby stwierdzić, że tamten już nie żyje. Twarz napastnika wydała mu się skądś znajoma, odzież także. Skąd? Ależ to jasne! Był to — wypisz wymaluj — portret syna Rudego Klause, zabitego w gospodzie „U Wesołego Młynarza”. A więc drugi syn nie uszedł na Brandenburgię, ale wrócił i zasadził się tu, aby ich obu zabić.

Teraz Stuwe podszedł do Kozaka, ale nie można było mu już pomóc. Bliski strzał z muszkietu osmalił całą pierś Zaporozca, a kula dokonała takiego spustoszenia, że

komisarz królewski zasłonił tę potworną ranę burką. Natomiast dziwnym zrzędzeniem losu ani proch, ani kula nie naruszyły twarzy, na której malował się spokój i jakby wyraz zdziwienia, że marzenia o spotkaniu ze stepem na Dzikich Polach, zakończyły się na półwyspie Hel, w połowie drogi między Wielką Wsią a Władysławowem.

13. ALBO DO JABŁKA, ALBO DO GRUSZKI

Amadeusz Storch, poddany elektora i człowiek do specjalnych poruczeń, niekoniernie honorowych, spędził tę noc na pokładzie barkasa „Święty Jan”, zakotwiczonego w pobliżu piaszczystej ławicy na Zatoce. To znaczy spędził tam resztę nocy, bowiem szalupa ze Swarzewa dowiozła go do burty statku dopiero około północy. Rano polecił zejść z kotwiczowiska i dryfować na Zatoce cały dzień. W przypadku, gdyby duża fala go do tego zmusiła, zezwolił szyprowi barkasa wejść do portu na Helu, na co zresztą miał zgodę rajców gdańskich. Według glejtu jaki posiadał, był astronomem z Królewca, obserwującym niebo z pokładu statku. Był to jego własny pomysł, a trzeba przyznać, tak niedorzeczny, że... każdy mógł w to uwierzyć. Dodać należy, że astronomia miała od czasu Kopernika mir na Pomorzu, a obecna sława piwowara i badacza gwiazd — Jana Hewelke nazywanego Heweliuszem, ten mir jeszcze bardziej podtrzymała. Kto miał wiedzieć, ten jednak wiedział, że nie o obserwację gwiazd chodzi, lecz o poszukiwanie zatopionych skarbów. Nie były to poczynania niezgodne z prawem, przepisy określały bowiem prawo do sztrađu, ale o prawie do dna morskiego nic nie mówiły. Niebo i morze były we władaniu dobrych lub złych mocy, patronowali mu święci albo szatani, ale król albo jeszcze niżej schodząc — sółtys sztrađowy — nic tu nie mieli do zakazywania.

Storch realizował zlecenie królewieckiego domu kupieckiego Handlów, którego protektorem był dwór elektorski, ale głównym inspiratorem poszukiwań był kapitan Horn.

Na „Świętym Janie” — prócz szypra, sternika i trzech ludzi załogi — znajdowało się również trzech specjalistów od poszukiwań podwodnych, specjalnie' do tego

przedsięwzięcia zaangażowanych w Rotterdamie. Czy wydobyli wszystko? Na pewno nie, ale to co wydobyli mogło pokryć koszty poszukiwań, ucieszyć przedstawicieli domu handlowego w Królewcu, zadowolić Storcha, zrehabilitować Horna, a nawet wynagrodzić kogo trzeba w Gdańsku — za zezwolenie bazowania na Helu w dniach wietrznych. Prace mogły być prowadzone bowiem jedynie przy spokojnym morzu. Holendrzy posługiwali się przy poszukiwaniach dzwonem, wewnątrz którego kazali się opuszczać na dno morza, nurkując pod kloszem dzwonu i kopiąc w piaskach Mewiej Rafy.

Obecnie zadanie było wykonane i należało się tylko z niego rozliczyć. Ale od czasu, gdy Storch dopomógł Hornowi w całej aferze zdobycia „Andromedy”, operacja nabrała dodatkowego charakteru. Kiedy już wszystko zostanie między nimi załatwione — myślał awanturnik z Królewca — czy Horn nie zechce „swego drogiego przyjaciela Amadeusza Storcha” puścić na dno morza z ciężarem uwiązany u nóg, aby pozbyć się najważniejszego świadka przestępstwa? A jaki cel miało porwanie Krysty — wychowawcy komendanta Janicza? Storch pomagał w tym, licząc na przyobiecane wynagrodzenie, którym miał być udział w podziale łupów „Andromedy”. Ale czy o „Andromedzie”, poszukiwaniu złota z „Rudego Lisa” i planowanym porwaniu Krysty nie wiedziało już za wiele osób? Storcha zwłaszcza niepokoił Rudy Klaus z zajazdu i jego dwaj synowie — trójka, jak mu się wydało — rabusiów bez czci i wiary, zawistnych, mściwych i żądnych złota. Nie, stanowczo za dużo było świadków i za rozległy plan. Można było poprzestać na wydobyciu kościelnego złota z resztek wraka „Rudego Lisa”, no, nawet na rabunku „Andromedy”, ale po co Hornowi była Krysta?

Ze swoich niepokojów zwierzył się szyprowi barkasa, który podzielił jego obawy. Jeżeli Horn nie chciał spotkać się w porcie na Helu, to powodem mogła być nie tylko ostrożność, ale chęć zabrania całego złota z barkasa.

Po południu zdecydowali oboje, że „Święty Jan” wejdzie do portu na Helu, gdzie być może dowiedzą się, czy ludzie tamtejsi czegoś nie przewąchali. Komendant portu

wiedział, że „Święty Jan” nie jest wyłącznie statkiem przeznaczonym do badań astronomicznych, ale ma jeszcze inne tajemnicze zadania. Wiedział i akceptował to — mogli więc spokojnie cumować, jak długo chcieli. Ale i tak długo nie zabawili. Ledwie bowiem Storch postawił nogę na kamiennym pirsie, już doszła go wieść o tym, że jakiś szwedzki okręt sztrafował koło Rozewia oraz że zajazd „U Wesołego Młynarza” poszedł z dymem. Wiadomości były niejasne, ale na tyle wystarczające, aby do reszty przerazić Storchę i wtajemniczonego w ciemne machinacje szypra. Należało teraz co prędzej zdjąć cumy i pod pełnymi żaglami sterować do Piławy.

— Ale ba... u Krysty, Janiczowej wychowanicy, klejnot mój na palcu! — przypomniał sobie Storch. — Nie można go jej zostawić, bo wtedy po nitce do kłębka trafią na nasz ślad i ani chybi koniec znajdziemy na szubienicy.

— Więc co robić? — spytał szyper.

— Ze skarbami „Andromedy”, które spoczywały w brzuchu żaglowca „Biały Jeleń”, pożegnajmy się na zawsze. Nie zobaczymy ich. Jeżeli ujeli Horna, to choćby cokolwiek gadał, dowody są przeciwko niemu i Horn może pójść na stryczek razem z załogą „Białego Jelenia”. Jeżeli nie w Rzeczypospolitej, to w Szwecji. O naszym pakowaniu z Hornem wiedział tylko Rudy Klaus i jego synowie, ale to niegroźni świadkowie. Jedyne ślad, wskazujący na nas, to Krysta. Przed zapadnięciem mroku przejdziemy więc Głębinę w Mewiej Rafie i wejdziemy na wewnętrzny akwen Puckiego Wiku. Tam staniemy na kotwicy w pobliżu brzegu. Dobrze już po północy, a przećświtem, popłynę na łód z trzema marynarzami — dasz mi dobrego sternika i dwóch do wiosł. Drogę znam. Wyciągnę Krystę z fortecy i zabiorę na szalupę... -

— Żeby ją przewieźć na barkas?

— Nie. Żeby ją utopić w Wiku. Znajdziesz mi sznury i ciężar, który uwiążę jej u nóg. W ten sposób zginie jedyny poważny świadek, a ja odzyskam sygnet Janicz i komisarz królewski będą natomiast przekonani, że Krysta uciekła do prawdziwego ojca, do Szwecji.

— Pójdzie dziewczyna z waszość panem?

— Pewny nie jestem, ale chyba pójdzie, bo ciekawa prawdziwego ojca, ciekawa życia, ciekawa świata, a w fortecy nuda, błoto, głód i zgryzota.

— Nie kocha, więc swego przybranego ojca?

— Może i kocha, kto tam wie, co w człowieku siedzi? Musi tej nocy zdecydować, do kogo ją ciągnie — ale to i tak nie będzie miało już dla niej znaczenia.

— Nie boisz się waćpan?

— Nie mam wyjścia. Żywa Krysta — to dla nas niebezpieczeństwo. Martwa — to zamknięcie sprawy. A sprawa dla nas ważna, bo o gardło rzecz idzie. Jaką pogodę przewidują twoi ludzie? Będziemy mieli noc spokojną?

— Boją się szkwału. Może nawet białego szkwału...

— Co to takiego?

— Przywilej tego morza — z nagłą rodzi się wielkie uderzenie wiatru i wielka fala. Będziemy trzymać się na baczności — niech waszmość będzie spokojny. Płynąć więc teraz na Głębinę?

— Płynąć. A potem ostrożnie zbliżymy się ku fortecy od strony Zatoki. Już raz tamtędy chodziliśmy, drogę więc znacie, ale sondujcie; na mieliznę nam wejść, to śmierć...

— Więc jutro w południe będziemy w Piławie?

— Tak. Będziemy w Piławie i zaczniemy liczyć pieniądze...

Wiatr był niespokojny i powierzchnię Zatoki znaczyły strugi szkwałów, musieli więc uważać, aby żagiel barkasa nie poszedł w strzępy. Przy dobrej widoczności przeszli Głębinę. Na cyplu koło Rewy stało kilku miejscowych rybaków. Obserwowali

ich manewry. Nie podobało się to szyprowi, ale farwater leżał tak blisko wybrzeża, że nie sposób było przejść niepostrzeżenie.

Zakotwiczyli na płyciźnie, którą prądy morskie usypały na wprost Władysławowa. Szedł już mrok i ledwie widzieli kontury lądu. Storch zaszył się w szyperskiej kajucie, aby zdrzemnąć się przed akcją. Wystawiono wachtę i ze zwiniętymi żaglami oczekiwano na przedświt.

Mrok był zupełny, kiedy szyper zbudził Storch. Ten ubrał się pospiesznie, sprawdził dwa kołowe pistolety — czy nabite, rapier — czy lekko siedzi w pochwie i zlął po burcie na kołyszącą się na wodzie szalupę. Siedziało tam już dwóch wioślarzy i sternik.

— Jak będziecie wracać, zapalcie latarnię — upomniał szyper przechylony przez burzę. — Wtedy my zapalimy rufowe światło, żebyście trafili wprost do nas. Będzie chyba jeszcze ciemno. Pogoda — jak dotąd — dobra, a woda w zatoce gładka jak na jeziorze. Wydałem ludziom broń, ale pouczyłem, aby nie strzelać po próżnicy. Jeżeli już trzeba będzie kogoś uspokoić, mają kordelasy. A tej znajdy Janicza nie wyrzucajcie za burzę na płyciźnie. Jeżeli nie będziecie pewni głębokości, już raczej dowieźcie ją tutaj. Damy ją rybom po tamtej stronie rafy.

Odbili. Woda była rzeczywiście spokojna, ale powietrze wilgotne, ciężkie, jak to na wiosnę przy przesileniach zimnych i ciepłych mas powietrza. Sterowali w kanał, który powstał podczas sztormowych lat, rozrywając w tym miejscu półwysep. Kanał ten służył równocześnie za fosę forteczną. Wkrótce w mrokach zamajaczyła przed nimi czarna masa lądu — weszli bezbłędnie w gardziel kanału.

— Poczekajcie tu na mnie — odezwał się szeptem Storch. — Zaraz wracam z panną. A nie przestraszcie jej — niech myśli, że do ojca ją wieziemy.

— A gdyby się nie udało?

— Musi się udać. Jeżeli nawet usłyszelibyście strzały, czekajcie dalej spokojnie — nikt tu was nie znajdzie.

Odszedł i skierował się na ścieżkę, znaną mu już z poprzedniej penetracji fortu. Po omacku znalazł ukrytą drabinę, którą kiedyś przygotował mu Alojz Paszkę. Lekki podmuch wiatru stłumił kroki.

Był już na wałach. Szukał drogi w dół, rozglądając się pilnie i nasłuchując. Ześlizgnął się na dziedziniec i skierował do domu oficerskiego. Skrzyp schodów utonął w pogwizdach i szumach przybój u. No, żeby tylko wiatr za prędko się nie podniósł, bo wówczas zaczęłyby się kłopoty na kotwiczowisku „Świętego Jana"! Trzeba się spieszyć! Był już u drzwi Krysty. Zastukał i dotknął klamki. Drzwi znalazł otwarte. Wszedł i zawarł je za sobą.

Krysta leżała na łóżku, ale odziana w suknię. Obok łóżka paliła się świeca. Dostrzegł w jej dłoni chusteczkę i pomyślał, że sen utulił ją w płaczu. Wyglądała tak niewinnie, że zawahał się. Czy potrafi ją zabić? Potem zobaczył na jej palcu swój klejnot. Podeszedł, pochylił się i nerwowo zaczął ściągać sygnet. Obudziła się i wyrwała rękę z jego dłoni. Gwałtownie usiadła na łóżku.

— To ja, Amadeusz Storch. Przyszedłem po waćpannę... — skłonił się jej. — Nie trzeba się lękać...

— Czemu ściągasz pan sygnet z palca śpiącej?

— Czasu wiele nie mamy, a znak już niepotrzebny. Wkrótce ujrzysz pani swego ojca... — powiedział, zastanawiając się równocześnie czy Horn, jeżeli rzeczywiście był jej ojcem, jeszcze w ogóle żyje.

— Mego ojca?

— Tak, przecież w tym celu tu przybyłem.

— I dlatego ściągasz mi sygnet z palca?

— Jest już niepotrzebny pannie, a ojciec mógłby się gniewać, że swój sygnet zostawiłem na palcu waćpanny — łągał niezręcznie. — Nie powinno się nosić cudzych pierścieni... Daj waćpanna sygnet i odziej się w jakąś burkę, bo na morzu zimno — mówił obcesowo, może dość nawet ostro, brutalnie, ale strach i pośpiech zmazały z niego wszystkie farby obłudy, w jakie się poprzednio stroił.

— Jak to?

— Przecie do ojca ze mną jedziesz. Nie bierz żadnych rzeczy. Nic. Zostaw je panu Janiczowi i jego kompanii. Tam, gdzie cię zabieram, niczego ci nie zabraknie.

Wolno ujęła dwoma palcami sygnet i ściągnęła go z palca.

— Bierz waćpan klejnot. Nic mi po nim. Przemyślałam wszystko i jedno rzeknę: nie ruszę się stąd. Pan Janicz moim ojcem. Prawy człek, dobry, honorowy. O nikim innym słuchać nawet nie chcę. A ten Szwed, który mieni się moim ojcem — niech wraca do swoich północnych krain. Mógł tu przyjść sam, jawnie, a nie po kryjomu, krwią znacząc swoje odwiedziny. Za pańskiego pobytu w twierdzy — dobry żołnierz poległ. Mietk Góra. Niech ów Szwed wraca, a waść z nim. Nikim jest dla mnie.

— Tak się nie godzi waćpanno, zmuszony będę cię gwałtem wziąć.

— Precz, powiedziałam!

Nachylił się, chcąc uchwycić jej rękę, ale cofnęła się, przerzuciła zręcznie obie nogi przez łóżko i wstała. Zobaczył wtedy w jej ręku nieduży, ale misternie wykonany pistolet z mechanizmem kołowym, niezawodny w nagłych sytuacjach.

— Szalona jesteś, panno, i miłości ojcowej nie szanujesz.

Cofnął się ostrożnie, okrążył łóżko i próbował zbliżyć się do niej z drugiej strony. Nie miał już wyboru. Postanowił tu, zaraz, trupem ją położyć. Uczyni to rapierem albo sztyletem, żeby hałasu nie czynić. Znajdą jej ciało — trudno! Na Szwedów to

spadnie, nie na obywatela Prus Książęcych Amadeusza Storcha. Zabić ją, zanim krzyk podniesie, zanim wystrzeli.

— Kto ci dał tę niebezpieczną zabawkę? — zawarczał, tracąc do reszty maskę poczciwca. Zbój brał górę nad zwiastunem miłości nieznanego ojca.

— Ten, kto mnie od dziecka do piersi przytulił. Komendant Janicz — mój ojciec. Gdy na fortalicji żołnierza do obrony nie stało, a żagle szwedzkie dość często na horyzoncie widać było, nauczył mnie strzelać i przymusił tę króciwą wedle łoża trzymać. Jeżeli to prawda, że matką moją była tutejsza kobieta, nie wierzę by z własnej woli związała się z tymi, którzy wsie palili, kobiety gwałcili, złota kościelne kradli. Idź waść tam, skąd przyszedłeś. Do piekła.

Jednym gestem wyrwał z pochwy rapier i śmignął nim, aby pistolet z rąk panny wytrącić. Ale zanim tego dokonał, pistolet wypalił. Zbyt jednak drżała ręka dziewczyny, a pewnie z trwogi oczy zawarła w momencie strzału, bo kula poszła przez rozwiany płaszcz szwedzkiego posła i utkwiała w ścianie, wióry z drewna sypiąc. Świeca zamrugła i zgasła. Wtedy Storch rzucił się w stronę, gdzie stała panna, aby sztychem przybić jej ciało do ściany — już nie myśląc o tym, że huk mógł kogoś obudzić. Jednak w momencie zadawania ciosu, siła jakaś w kleszcze ujęła jego ramię. Jednocześnie poczuł czyjś oddech na karku.

— Puść!

— Raczej módl się szybko do swojego czartowskiego opiekuna Lucyfera, nędzniku!

Amadeusz Storch gwałtownym ruchem wyzwolił lewą rękę i sięgnął po pistolet, ale wtedy ten, który go trzymał, zadał cios...

— Wstrzymaj się, mości Janicz! Tego zbója sądowi trzeba wydać! Sądowi i katu!
— rozległ się okrzyk Bernarda Stuwe.

— Nie! Ja tu teraz trybunałem i katem!...

Zasapali się obaj walczący, szczęknięło żelazo, a potem jęk wydarł się z czyjejs krtani. Jęk i rżenie. Ciało runęło na podłogę.

— Światła! Światła! — wrzasnął Stuwe. — Dawaj tu sam światło!

Gdy chorąży Zaręba wniósł wreszcie latarnię, ujrzeli dziewczynę stojącą w tym samym miejscu, skąd strzeliła do napastnika. Trwała nieporuszenie, oparta plecami o ścianę, trzymając wciąż jeszcze w dłoni pistolet, a drugą ręką opierając się o brzeg łóżka. U jej stóp leżał królewiecki posłaniec Amadeusz Storch. Nie żył już. Nad nim pochylony nieco do przodu, trwał jak skamieniały w geście walki — komendant fortu Władysławowo.

— Ojcie! — krzyknęła dziewczyna. Oderwała się od ściany i rzuciła w stronę starego człowieka.

— Krysta! — odpowiedział jej Janicz, przygarniając dziewczynę.

Stuwe pomyślał, że nic tu po nim. Ważne zaś było, aby ci, którzy przywieźli tu Storcha, nie odpłynęli stąd sami. Nie chciał dopuścić do spotkania Krysty z wysłannikiem jej rzekomego ojca, ale gdy zwierzył się z tego Janiczowi, komendant zażądał, aby w tej materii nie wtrącał się do całej sprawy. Jeśli Krysta zechce odejść, odejdzie i nikt jej w tym nie przeszkodzi.

— Może się to panu wyda dziwne, panie komisarzu, ale na żadną przemoc nie pozwolę. Już i tak za wiele przemocy tu się zdarzyło. Niech Krysta decyduje sama, z kim chce dzielić resztę życia — z Janiczem, czy z Hornem.

— Horn przecie w grobie!

— Nie śmie się ona o tym przed decyzją własną dowiedzieć. Jeżeli wybierze Horna, to chociaż on już nie na tym świecie, zostanie w jej sercu na zawsze. A ja i tak uczynię wszystko co w mojej mocy, aby Krysta szczęśliwa była. Zechce do Szwecji

wyjechać, wyjedzie. Zechce tu zostać, zostanie. Musi jednak o uczuciu swoim sama zdecydować — czy ciągnie ją do przybranego ojca czy do rzeczywistego.

— Który łotrem był i z branką ją spłodził.

— Ojciec jest ojciec, panie Stuwe i jeżeli atencją darzyłeś pannę, bo miarkuję jak za nią oczami wodzisz, trzeba było Horna upilnować, aby żyw tu stanął.

— W wojennej potrzebie inaczej na te sprawy patrzymy.

— Okazję do wojennej potrzeby często sami stwarzamy.

— A jeżeli Krysta nie zechce odejść ze Storchem, a ten będzie chciał ją gwałtem brać?

— Ma pod poduszką króciwą, którą od Niderlandczyków dla niej kupiłem. Umie się nią posługiwać. Tu także kresy jak nad Dnieprem i kobiety tutejsze umieją się bronić jak na Dzikich Polach, panie Stuwe. Na wszelką okazję możemy jednak czuwać wedle drzwi i w razie potrzeby salwować Krystę — ale tylko wtedy, gdy o pomoc zawoła.

Jednego tylko ojca miała Krysta. Można było wyobrazić sobie, co przez ostatnie dni i noce działo się w jej sercu, zanim taką właśnie decyzję podjęła. Teraz należało ująć żeglarzy, którzy przywiedli tu Storcha, a potem — w ich „zastępstwie”, z ludźmi sołtysa Z Wielkiej Wsi, ruszyć ku kotwiczącemu na Wiku barkasowi. Taki był plan Stuwego, omal nie obrócony wniwecz, gdyby Krysta uszła ze Storchem.

Świtało już — niebo na wschodzie szarzało, a ponad Wielkim Morzem szły górami, przeciw wschodowi, poszarpane, granatowe obłoki. Od czasu gdy barkas zakotwiczył, wiatr wzmógł się i królewiecki żaglowiec zejść musiał z kotwicy, dryfując w pobliżu władysławo wskiej fortalicji. W fosie znalazł Stuwe sytuację wyjaśnioną — trzech ludzi z szalupy barkasa leżeli powiązani jak barany. Toż przecie wylądowali — nic o tym nie wiedząc — o piętnaście kroków od zaczajonej załogi szalupy z Wielkiej Wsi.

Ochoty do walki nie mieli i na pierwsze wezwanie złożyli broń. Sołtys wyjaśnił Stuwemu, że załoga barkasa miała zapalić latarnię po wyjściu na Wik. Ale cóż po latarni, gdy już świta!... — zakończył, wskazując na niebo.

— No więc, płyniemy... — zdecydował Stuwe.

— Spójrzaj panie na wodę, na korony drzew, posłuchaj, jak szumi Wielkie Morze... — odparł na to sołtys.

— Nie rozumiem, o czym mówicie.

— Za trzy pacierze będzie tu gwizdać.

— Sztorm idzie?

— Żeby to zwykły sztorm... Patrz, wasza miłość ku zachodowi, na niebo.

— Nic tam nie widać.

— Przyjrzyj się dobrze, panie. Widać już to wyraźnie...

— Mówicie, sołtysie, o tej czarnej linii chmur?

— Tak. Może to być zapowiedź białego szkwału.

Poculi na policzkach gwałtowne uderzenie wiatru.

Zjawił się u boku Stuwego chorąży Zaręba, pytając o rozkazy.

— Jakże tu można wydać rozkazy, kiedy całe niebo wali się na nas — mruknął Stuwe. — Co z Janiczem?

— Wziął Krystę do swoich komnat i tam gadają.

Od dziś już ona naprawdę jego córka i nikt temu nie zaprzeczy. Kim mógł być ten człowiek, który po nią przybył?

— To poddany elektorski z Królewca, niejaki Storch, który z głównym zbójem, kapitanem Hornem, w komilitonii żył.

— A ów Horn to ojciec Krysty?

— Diabeł w tym prawdy nie dojdzie, ale to już i tak nieważne, bo Horn nie żyje. Oddał ducha w zajeździe „U Wesołego Młynarza”. Pojmujesz teraz?

— Nie wszystko jeszcze. Po co więc przybył dzisiaj Storch?

— Chyba już tylko po to, aby pannę zabić. Takie jest moje uważanie. I uczyniłby to, gdyby z nim poszła.

— A tamci? — wskazał chorąży dłonią ku Wikowi i chybotliwej sylwetce barkasa.

— Złoto łowili nocami na Mewiej Rafie, skarbów szukali z rozbitego wraku „Rudego Lisa”.

— A więc tam, na tej krypie, są skarby?

— Są, ale zdaje się, że nie zobaczymy ich nigdy. Tamci chyba też. Nigdy... Popatrzcie!

Był to rzeczywiście biały szkwał — cała Zatoka utonęła w pyle wodnym, który stopniowo ogarniał całą powierzchnię Małego Morza, aby morze połączyć w końcu ze zwichrzonymi chmurzyskami. Widzieli jeszcze przez moment, jak królewiecki barkas „Święty Jan” pędzi z kotwicowiska ku wschodowi, potem położony już na burcie, zmierza wprost ku miejscu, gdzie przed laty zatonął „Rudy Lis”. Cały świat zginął nagle za kurtyną wodną.

— Świeć, Panie, nad ich duszami... — powiedział pobożnie sołtys.

— Co tam Pan ma im świecić — obruszył się Zaręba — już im tam diabeł świeci na ostatnią drogę... Do piekieł płyną. Na samo dno... --

Stuwe pomyślał, że w tym miejscu zamyka się ostatni akt dramatu, który przyszło mu tutaj obejrzeć, a nawet na tej scenie w nieliczej roli wystąpić. Misja jego była skończona. Należało teraz wrócić do fortu, nacieszyć się szczęściem Janicza i Krysty. Teraz była ona już jego prawdziwą córką. To prawda. Czy jednak nie za wysoka była cena tej prawdy? Czy nie za duże ryzyko w imię własnej szlachetności podjął Janicz dając jej wolną rękę? Ale czy nie miał racji, że za wiele w tej całej sprawie dookoła „Andromedy”, Horna i Storcha — gwałtów, a za mało trybunalskiej, pokojowej sprawiedliwości? Ale cóż — było to pogranicze i pograniczne prawa tu rządziły. Czekala Stuwego jeszcze smutna powinność — należało pogrzebać ciało Symeona, kozackiego żołnierza Rzeczypospolitej. Ale jeszcze przed rozstaniem postanowił uczynić coś, co Symeon kiedyś trafnie przewidział — poprosić o rękę Krysty, córki komendanta. A może odczekać jeszcze? Wrócić do Warszawy i o komendanturę Władysławowa się starać, bo Janicz już tu chyba długo nie zostanie? Ech, co za niskich lotów myśli mu po głowie chodzą?

— No, nic tu po nas. Wracamy do fortecy — odezwał się. — Chodźcie sołtysie z nami. Nie przyszło do rozprawy z wrogiem, ale pokazaliście, że król jegomość może zawsze na ludzi tutejszych liczyć. A jutro mamy wszyscy smutny obrządek do spełnienia — pogrzebać oficera zaporoskiego, w służbie dla Rzeczypospolitej poległego.

— Śmierć żołnierzom zwyczajna — odpowiedział Zaręba. — Tu zawsze żałoba i weseliska obok siebie żyją. I nie tylko w królewskiej fortalicji. W rybackich checzach także. Morze to nie orne pole, z którego plon zbierają rybacy, to pole codziennej bitwy.

— O jakim weselisku mówisz? — rzucił pytanie Stuwe.

— O rękę Krysty poprosiłem pana Janicza i przyjęty zostałem. Warunkował to tylko jej zgodą. Teraz jeszcze nie okazja do indagowania jej w tej materii, ale jutro do stóp jej padnę.

— Liczysz waszmość na przychyłność?

— Jak Bóg da... Ale mam powody mniemać, że się zgodzi. Wówczas to waćpana na družbę chciałbym prosić... Zgodzisz się, mości kapitanie?

— Zgodzę... odpowiedział Stuwe. — Jeżeli i panna się zgodzi.

— Tę sprawę już mnie pozostaw.

Przystanął i obejrzał się jeszcze — nad Zatoką Pucką szalała nawałnica. Nie było nic widać. Przechodzące nisko granatowe chmury siekły ich twarze ostrą ulewą...

Ogromnie pewny siebie tu przyjechał. Głowicą rapiera w burmistrzowski stół stuknął, dając do zrozumienia, że gdzie rozumem nie zwycięży, tam mu oręż pomoże. No i co? Sprawę „Andromedy” rzeczywiście rozwiązał, ale równocześnie w jakiś labirynt wlaźł, z którego trudno mu będzie się wydostać — przyjaciela stracił, mogił wiele zostawił i z oręża trybunał uczynił nad prawem nie tylko sztrańdowym, ale i ojcowskim. „Zawiodłem się na tobie, panie Stuwe” — mruknął do siebie, kiedy już wracali do fortu. — „Będą ci inni gratulować, ale ja się od gratulacji wstrzymam, panie Stuwe...”

14. BIJA PUCKIE DZWONY

— Świetnie się pan spisałeś, młody kapitanie i młody komisarzu królewski. Wieszukę sukcesu. Pismo w sprawie „Andromedy” wystosowaliśmy już na ręce kanclerza wielkiego koronnego. Nasze podejrzenia okazały się mylne, a tam, gdzie upatrywaliśmy znaleźć błoto, odkryłeś naszym oczom diamenty. Podejrzenie w stosunku do załogi królewskiej twierdzy oddaliłeś. Janicza honor obroniłeś, a nawet dodatkowe tajemnice ujrzały przy tej okazji światło dzienne. Larum takie na dworze królewskim uczyniłeś, że i pieniądze się znalazły i armaty. Znów rąbie się drzewa, a cieśle koło palisad pracują. Forteca królewska wraca do życia. Czy to prawda, że przyjął cię także pan Weyher w swoim nowym mieście, które imię Weyherów nosić będzie?

To mówił burmistrz.

Siedzieli po obu końcach stołu, na środku którego paliła się w ozdobnym kandelabrze tylko jedna świeca — nie wiadomo czy przez oszczędność prowadzoną w radzie miejskiej. Gdańska, czy dla wygody oczu pana burmistrza, czy wedle zwyczaju. Ich wielkie, wyolbrzymione wielokrotnie cienie tańczyły na ścianach przy każdym podmuchu wiatru, dobiegającego spoza kotar, zakrywających półotwartą okiennicę. Stuwe patrzył ponad płomieniem świecy w twarz burmistrza, próbując odkryć myśli tamtego.

— Wiele o panu pułkowniku Jakubie Weyherze oraz o jego zacnych przodkach słyszałem, jeszcze zanim tu przyjechałem — odezwał się wreszcie. — To zacności człowiek, dzielny, oddany Rzeczypospolitej, ale już niemłody wiekiem.

— Stary, chciałeś powiedzieć.

— Tak, stary.

— Stary jako ja... — burmistrz skinął głową... — Mamy już plon życia za sobą. On teraz Nowe Jeruzalem buduje... Oglądałeś je?

— Kościółek tam stoi, a obok górę usypać kazał, nazywają ją Kalwarią Weyherowską. Miasto tam rośnie — Weyherowską Wola, które w przyszłości Weyherowem nazywać będą. Widziałem się z panem Weyherem dla dwóch okoliczności. Chciałem zapytać o zabezpieczenie na przyszłość fortalicji na półwyspie, aby raport odpowiedni kanclerzowi wielkiemu i hetmanowi zdać, a także družbowałem w zaślubinach panny Krysty, córki komendanta Janicza, z chorążym Zarębą. Musieliście panie o tym słyszeć bo puckie dzwony robiły tyle hałasu, że było w Gdańsku chyba słychać. Niektórzy myśleli, że szwedzkie okręty weszły na Zatokę Pucką.

— Zaręba nie z tych najlepszych Zarębów. O majątności jakiejś tego kawalera — nic nie słyszałem.

— Ale to dzielny i prawy mąż.

— Cóż tam Krysta z niego za pożytek mieć będzie... Żołnierz to nie mąż. Czemu jej nie poszukali statecznego kupca?

— Klejnot u Zaręby zacny...

— ...ale sakiewka próżna.

— Chyba przyjdzie mu niedługo zastąpić Janicza na stanowisku komendanta. A stanowisko nie jest złe, „bo istotnie królewskie przyzwolenia i fundusze na reperację fortu nadeszły. Czy nie warto to radości?

— Czasami wydaje mi się, młody komisarzu, że uważasz mnie za złego starucha, który Janiczowi wszystkiego najgorszego życzył. Nieprawda to. Nie chcieliśmy tylko w Gdańsku królewskich poborców ceł, wspartych na armatach — stąd wzięły się nie-

przyjazne kroki, nieprzyjazne słowa i myśli. Ale los Gdańska z losem Rzeczypospolitej związany. Teraz Władysławowo to także puklerz dla nas,

— Czy te fortyfikacje, które Holendrzy wokół Gdańska stawiają, wyłącznie na obronę miasta przeciw naszemu wspólnemu wrogowi przeznaczone — jeżeli napadnie? Czy też potęgę miasta mają oznajmiać?

— Zrozumiesz to, mości komisarzu, gdy rozejm się skończy i Szwedzi pod miasto podejda, jak już raz podeszli. Stary pan Jakub Weyher ma jakiś profit swego życia, ale stary burmistrz także. Powiedz o tym w Warszawie. Szwed, gdy tu przyjdzie, zęby sobie wyłamie.

— Wierzysz, panie, w nową wojnę, w nowe najście Szwedów?

— Co tu wierzyć — to najście już się gotuje. Ale wracając do twojej misji — tajemnicę „Andromedy” wyjaśniłeś, pirat Horn zginął, gniazdo bandyckie „U Wesołego Młynarza” zgorzało i zeszli ze świata trzej zbóje, nawet zausznik Horna pan Amadeusz Storch, który certyfikatem astronomusa się legitymował — także w grobie, a złoto które wyciągnął z dna morskiego, znów na dnie... A co z twoim przyjacielem — oficerem kozackim? Nie osadzi pan hetman Kozaków pod Gdańskiem, aby ceł morskich pilnowali?

— Oficer zaporoski, z którym tu przybyłem, nie w tych celach się zjawił. Przygody on tu szukał. Niestety — śmierć znalazł.

— Bywa tak, gdy się ze śmiercią całe życie tańczy, że i ona do tańca poprosi. A ty, panie komisarzu, nie miałbyś dość tego tańcowania, nie zechciałbyś już na stałe gdzieś osiąść?

— Co pan, burmistrzu, pod tym rozumie?

— Myślałem, że pannę tu jakąś upatrzyłeś, stanowisko chciałbyś godne swych umiejętności objąć... Rada miejska Gdańska pragnie ci zaoferować pozycję godną w służbie miasta.

— Jaka?

— Do wyboru ci to zostawimy, ale miejsc dla takich jak ty jest tu wiele. Prawy jest es i rozsądny. Przymioty nader cenne. Trochę może tylko za skoro do rapiera sięgasz.

— A gdybym u pana pułkownika Weyhera w służbie został?

— Przyjaciół tu mieć będziesz zawsze, także i w takiej sytuacji.

— Nie patrzy już rada krzywym okiem na fortalicje królewskie?

— Mówiłem ci już raz, komisarzu, że jeżeli nie cła zastraszenia mieszczan, ale przeciwko wspólnemu wrogowi skierowane będą, nie stanowią tematu do dyskusji. Zresztą — wyjaśniło się ostatnio wiele. Tylko widma na Mewiej Rafie straszyć nie przestały i we mgle widują tam podobno dalej cień żaglowca. Ale to już widmo, a nie barkas pana Storcha. A więc — żegnaj błędny rycerzu, panie Stuwe. Mówili mi, że jakoweś osobiste sprawy nie ułożyły się tobie w tych stronach, ale nie pytałem o szczegóły. Rycerze błędni zawsze swoje osobiste szczęście na szlaku przygód gubią. Zobaczymy się jeszcze?

— Pewno, że zobaczymy, panie burmistrzu.

— Wstawaj więc ostrożnie od stołu, aby świeca znów nie zgasła, jak ostatnim razem, bo to niedobry omen zwiastuje. Jeśli nie dla ogólnej sprawy, to dla twego serca.

Na tym audiencja u burmistrza zakończyła się.

W kilka lat później, kiedy pod Ujściem pospolite ruszenie poddało się bez walki marszałkowi szwedzkiemu Arwidowi Wittembergowi, a na Litwie przeszedł na ich stronę książę Janusz Radziwiłł i kiedy całe Pomorze zostało odcięte od reszty kraju,

Stuwe przybył na wybrzeże z tajną misją królewską. W Gdańsku przyrzekli mu i kazali powtórzyć komu należy, że miasto nigdy nie otworzy bram Szwedowi. Zastał też Gdańsk do walki przysposobiony, z działami na bastionach, z żołnierzem karnym na murach. W Pucku tę samą deklarację złożył mu tamtejszy dowódca garnizonu, kapitan Sarbski — Kaszuba z dziada pradziada. I rzeczywiście — oba miasta oparły się zwycięsko szwedzkiej lawinie, która zwała się wówczas na ojczyznę.

Również dowódca Władysławowa i Kazimierzowa, kapitan Zaręba postanowił raczej polec, niż poddać się. Wysłał on przedtem swoją żonę Krystę, razem z dziećmi, do Pucka, aby w murach tej warowni na rezultaty niechybnej walki o półwysep czekała. Forty były opatrzone, wzmocnione, uzbrojone działami, obsadzone załogą. W ostatnich latach nie pożałowano grosza na kresowe bastiony Rzeczypospolitej nad jej morską granicą. Nie był to już ów obraz, który przedstawił się oczom Stuwego, kiedy po raz pierwszy tu przybył, ale też częśćka jego zasługi w tym dziele odnowy była. Dawny komisarz królewski odwiedził pod Władysławowem, na miejscowym cmentarzystwie, mogiły dwu komilitonów — komendanta Janicza, który zmarł w dwa lata po weselisku córki i Kozaka Symeona. Mogiła ta wyróżniała się od innych prawosławnym, złamanym krzyżem.

We wrześniu 1655 roku silna eskadra szwedzka licząca trzydzieści dwa galeony, dowodzona przez admirała Karola Wrangla, zaatakowała polskie wybrzeże. Znów, jak na weselu Zaręby z Janiczową córą, rozdzwoniły się puckie dzwony, ale tym razem na prawdziwe larum były. Główny atak poszedł na półwysep Hel i obie polskie fortece. Mimo ogromnej przewagi ognia artyleryjskiego, mimo ataku piechoty od strony Wielkiej Wsi i gdańskiej Jastarni, najdalej na północ wysunięte szańce Rzeczypospolitej stawiały dzielny opór. Wtedy właśnie Zaręba zaproponował Stuwemu dostarczenie meldunku o sytuacji na szzańcach do Pucka. Był to dzień bezwietrzny, morze jak lustro i nad Mewią Rafą chmury białego ptactwa. Bój ucichł na jakiś czas i wrześniowy, słoneczny dzień zdawał się na chwilę zapominać o wojnie. Stuwe podjął się zadania i postanowił wykonać je w sposób godny kawalera z taką fantazją. Istniało niebezpieczeń-

stwo, że szalupę mogą Szwedzi zająć, Stuwe więc spróbował przedostać się wzdłuż płycizn Mewiej Rafy... konno. Był to podobno pierwszy taki wyczyn, ale udał się!

W jakiś czas potem, po krótkim postoju w Rewie, oficer zameldował się w Pucku u kapitana Sarbskiego. Ten wziął go zaraz przed oblicze kogoś znaczniejszego. Tym kimś okazał się pułkownik Jakub Weyher, który objął osobiście dowództwo nad obroną Pucka. Gdy Stuwe zdał raport o stanie obrony półwyspu, Weyher zdecydował, aby załoga przystąpiła do ewakuacji fortu, a pod wieczór obiecał przysłać w tym celu kilka rybackich jednostek. Stuwe po krótkim odpoczynku i zmianie konia ruszył znów tą samą drogą, mimo że odradzano mu tak ryzykowne przedsięwzięcie. Widziano go jeszcze gdy przepływał Głębinkę, gdy gnał konno po grzbiecie mielizny, ale dalej otuliła go mgła, która z nagłą spadła na Zatokę. Więcej nikt go już nie zobaczył...

Następnego dnia oba forty — z braku amunicji i wykrwawione do ostatka — padły. Rozpoczął się szturm szwedzki na miasta wybrzeża. Szwedom nie udało się już jednak osiągnąć większych wojskowych sukcesów. Ich ataki załamały się zarówno na fortyfikacjach i zaciętej obronie wielkiego Gdańska, jak i małego Pucka. W rok później rajtarzy i muszkietierowie zaczęli zwijać swoje obozy i opuszczać pozycje. Wojnę zakończył ostatecznie pokój, podpisany w 1660 roku pod Gdańskiem, w oliwskim klasztorze...

Cisza wróciła nad Małe Morze, a do legend krążących wokół Mewiej Rafy przybyła jeszcze jedna — o widmie jeźdźca, pędzącego w mgliste dni wzdłuż wielkiej mielizny.

OD AUTORA

Pomysł tej opowieści narodził się w efekcie licznych moich wędrówek po wybrzeżu. Magia Mewiej Rify zawładnęła mną od czasu, kiedy przyjechałem pierwszy raz do Rewy i wstąpiłem na piaszczysty jezior miniaturowego półwyspu, znaczącego początek mielizny. Potem poznałem urok Helskiej Mierzei, szukając śladów dwóch królewskich fortyfikacji z siedemnastego stulecia, bowiem dokładnie nakreślili ich położenie szwedzcy kartografowie, przygotowujący mapę dla wojsk Karola Gustawa... Mieszkańcy wsi Chałupy, wyrosłej przed trzema i pół setkami lat jako „podgrodzie” twierdzy, gdy ich pytałem o Władysławowo, nie potrafili dać mi żadnej informacji. Tuż za Chałupami natrafiłem jednak w lasku, porastającym wydmy między Bałtykiem a Zatoką, na obniżenie terenu, na podmokły grunt i na skarpe — będącą może pozostałością bastionu. Nikt tu niczego datąd nie poszukiwał, nie prowadzono żadnych badań archeologicznych. A szkoda! Jedynym pewnym śladem po twierdzy jest dziś jej nazwa, nadana w 1938 roku nowemu portowi rybackiemu, powstałemu w innym miejscu, nie opodal osady Wielka Wieś i młodego wówczas osiedla Hallerowo. Stąd też omyłkowo, na niektórych mapach historycznych, królewska fortalicja oznakowana bywa nie we właściwym miejscu, ale u nasady półwyspu.

Według danych historycznych — Władysławowo było warownią potężną, choć głównie opartą na fortyfikacjach ziemnych wzmocnionych palisadami, z wieżą obserwacyjną pośrodku. „JK Mość bardzo dobrze port opatrzył i szaniec potężny Władysławów zwany (...) zbudował tak wielki, że i nam, urzędnikom swym, place podzielił i chce żeby tam nowa Genua powstała” — pisał po wizytacji twierdzy Janusz Radziwiłł. Po rozejmie w Sztumskiej Wsi, a także załamaniu się królewskich planów pobierania ceł morskich, obie twierdze podupadły. Okręty wojenne, które tutaj właśnie do walki sposobiono, zostały przebudowane i wstąpiły na szlaki handlowe, działa zdemontowa-

no i złożono w puckim arsenale, wojsko pozostające dłuższy czas bez żołdu, odeszło z placówki. Trzeba było dopiero wznowienia aktywności floty szwedzkiej u wybrzeży polskich, aby opatrzone fortece i w takim stanie dały, one odpór uderzeniu pierwszej fali szwedzkiego „potopu” w 1655 roku.

Takie osoby, wymieniane w tej powieści, jak pułkownik Weyher, starosta Jan Działyński, pułkownik Konstanty Wołk czy kapitan Sarbski — to postacie historyczne. Główni jednak bohaterowie książki zrodzili się w fantazji autora, choć na pewno w realiach autentycznych, warunkujących możliwość ich istnienia i ich przygód. Nazwisko komendanta warowni Władysławowo spotkałem kiedyś, w jakimś opracowaniu historycznym, ale brzmiało ono Janie i nie byłem pewny czy dotyczyło to opisywanego okresu — wiosny 1643 roku. Przyjąłem więc pisownię nieco inną i stworzyłem mu własną biografię. Dowódcą szwedzkim obrony Pucka w 1627 roku był istotnie pułkownik Saeton, a jeden z jego oficerów nosił miano Horn, ale i tu fantazja przekroczyła to, co możliwe było do uzyskania w materiałach źródłowych. Z Pucka istotnie wychodziły jeszcze ostatnie okręty ewakuacyjne, kiedy już hetman Koniecpolski słał do Seatona ultimatum, żądające poddania miasta. Okrętami tymi były na pewno „Pelikanen” i „Leoparden”, ale jest prawdopodobne, że było ich więcej i że woziły one nie tylko ludzi, ale zrabowane po zamkach i kościołach kosztowności.

I jeszcze jedno, o czym już wspomniałem we wstępie do książki: urok samego miejsca akcji. Uległ mu kiedyś poeta Janusz Stępowski, gdy — nazywając Mewią Rafę, zresztą zgodnie z ówczesnym zwyczajem, Mewią Rewą — pisał w poemacie „Legenda o masztowej sośnie”:

„...Jest przy Kuzwencie — Mewia Rewa. Zezwłokiem kształtnie się popieli jakby cień złotej karaweli w ławicy spoczął truchłem drzewa W sztrądzie wymyte lśnią kamyki na skrawku haku w dzień się palą, a w blasku pełni, płaską falą noc zapinają na guziki. Nieraz gdy tamcza ciągnie z Helu i po falistym mórz wygonie wodzi spienione, kare konie, z Rewy wyrasta burt kasztelu. Wówczas wędrowna mew gromada przepada w chmurach nad osuchem i z miałkiej wydmy wieje dułem — mówią, że wtedy Rewa gada...”

GDAŃSK



SPIS ROZDZIAŁÓW

1. OGNIE NAD ZATOKĄ

2. KOMISARZ KRÓLEWSKI

3. NOC PEŁNA TAJEMNIC

4. WISŁOUJŚCIE

5. FORTECA

6. WYJŚCIE NA MAŁE MORZE

7. W LABIRYNCIE

8. NOC PEŁNA ZDARZEŃ

9. WRAK „ANDROMEDY”

10. ZAJAZD „U WESOŁEGO MŁYNNARZA”

11. OMYŁKA SZYPPRA CHRISTENSENA

12. DROGA DO WŁADYSŁAWOWA .

13. ALBO DO JABŁKA, ALBO DO GRUSZKI .

14. BIJĄ PUCKIE DZWONY

OD AUTORA

Cena zł 20,—



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH”
GDAŃSK

— I z tego rozbitego statku miała pochodzić owa znajda, którą pan komendant Janicz uznał za własną córkę?

— Tak mówią. A prawdy nie zna nikt — może jeden Janicz, ale on tego nikomu nie powie. Chyba nawet ta jego córka-znajda nic o tym nie wie. Gadają jeszcze... Ech, ale to już babskie bajanie...

— Mówże waść wszystko, może w tym jest coś prawdy...

— Ano dobrze. Mówią, że na Mewiej Rafie straszy od tamtej pory. Zjawia się tam widmo zatopionego okrętu.

Coś jednak w tym jest, bo w niektóre noce światło na Mewiej Rafie widziano.